

Rok V.
Kraków, dnia 27 sierpnia 1911 r.
Nr. 35.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

DO SZKOŁY.



Zbliża się czas, w którym będziemy musieli oderwać nasze małe pociechy od bydełka pasącego się na ścierniach i ugorach a poprowadzić do szkoły i oddać je pod opiekę nauczycieli na całych dziesięć miesięcy. I niejeden ojciec lub matka oczekują tej chwili z jakiemś nieukontentowaniem, z pewną niechęcią. Woleliby, aby czas ten nie nadchod.il wcale, gdyż z pójściem dziecka do szkoły przyjdzie na gospodarstwo kłopot niejeden. Wszak wiadomo, że dziecko i bydła przypilnuje i w domu posprząta i w polu niejedno pomoże.

To też, gdy przyjdą zapisy, ten i ów ojciec przemyśliwa nad tem, jakby się usunąć od obowiązku posyłania dziecka do szkoły. Wobec tego prawie w każdej szkole wiejskiej można zauważyć smutny objaw, że tylko mała garstka zapisuje dzieci do szkoły chętnie, a reszta używa wszelkich sposobów, aby dziecko uwolnić. Przy takich zapisach odbywają się formalne targi: matka prosi o uwolnienie, nauczyciel tłomaczy, że tego uczynić nie może, a wszystko to kończy się rozgoryczeniem na szkołę i nauczyciela.

Objaw to, niestety, nierzadki a objaw bardzo smutny!

Wszak pomyśl ojcze, matko, że najdroższym twoim skarbem, to to dziecię, jakie ci Pan Bóg dał. Ty dla tego twojego skarbu powinieneś się starać o rzeczy, jakie są najcenniejsze. A cóż cenniejszego dla człowieka być może od nauki? Dostatki można stracić, uroda przeminie a nauka póki życia człowieka pozostanie. A ta nauka, prowadzona w duchu Bożym, stawia nas ponad wszelkie stworzenia i do aniołów zbliża. A ty twemu dziecięciu tej wiedzy zazdrościsz? Tobie milsze bydlątko, jak dziecię twe własne?

Taki ojciec, taka matka, którzy dzieci do szkoły posyłać nie chcą, są gorsi od katów, którzy ciało zabijają, bo oni zabijają duszę i rozum swych dziatek. U takich rodziców można spotkać usprawiedliwienie, że bez dziecka, zwłaszcza jesienią i na wiosnę, w domu obejść się nie można. Jest to tylko, ojcze, matko, czcza wymówka! Bo pomyśl tylko... Gdyby ci tak Pan Bóg nie dał był tego dziecięcia, czyż nie obszedłbyś się bez niego? Albo, gdyby ci to dziecię umarło, czyż nie obszedłbyś się bez niego? A przed Panem Bogiem wymówek niema.

Usuwanie się od obowiązku posyłania dzieci do szkoły jest zbrodnią popełnianą na własnych dzieciach, a wymówki używane przy wpisach są mydleniem oczu. A cóż powiedzieć o rozgoryczeniu na nauczyciela, który wykonując swój obowiązek, nie chce uwalniać dzieci od uczęszczania do szkoły. Inaczej tego nazwać nie można, jak głupotą.

Wszak nauczyciel nie ma w tem własnego interesu, bo czy on będzie miał w szkole 20 czy 200 dzieci, to pensya jego ani się nie zwiększy ani nie zmniejszy. A że nauczyciel pragnie, aby nauka postępowała należycie, to powinno być również pragnieniem rodziców, gdyż korzyść tu ogólna.

Szkoła, dając nam wiedzę, dając nam oświatę, daje nam to, co najdroższem dla nas być powinno, a my mamyż skarby te od siebie precz odrzucać?

Tak czynić może tylko człowiek nierozsądny. Ale kto tylko ma szczyptę rozumu, powinien żądać tej oświaty, bo ona da nam dobrobyt i z biedy nas wyrwać może.

Wszak wiemy, jak kraj nasz daleko pozostał w tyle od innych, a przeto i bieda u nas większa. U nas w większej ilości chat wiejskich znajdziesz prędzej pijaka niżeli gazetę; od dziecka własnego prędzej usłyszysz sprośną śpiewkę, niż miłą piosenkę.

Aby więc wnieść w kraj oświatę, aby usunąć z niego biedę, aby się nie dać poniewierać byle komu, kształćmy swoje dzieci, posyłajmy je do szkoły. Kiedy przyjdzie czas zapisów, prowadźmy chętnie do nich swe dziatki! Nie utrudniajmy nauczycielom ich pracy, ale owszem osładzajmy, bo pracują oni dla dobra naszych dziatek, dla dobra kraju naszego i biednej Ojczyzny.

Rozbójnicze gniazdo.

VIII.

Napad Tatarów. — Pewna zguba. — Pierwsze ofiary. — Odwaga niewiast. — Straszna chwila. — Niespodziewana odsiecz. — Pułkownik Dulęba. — Powrót. — Ucieczka Dorszaka. — Opór Hołoba. — Dorszak opuszcza gródek.

Janasz stał na przedzie, rozgorączkowany, zapalony, wściekły, czując, że tu życiem przypłacić przyjdzie, a myśląc tylko o tem, jak miecznikową i Jadzię ocalić. Ucieczka była niepodobieństwem, bo wąwóz ciągnął się daleko a dwie ściany obejmujące go, prostopadłe niemal były, jak urwiska.

Miecznikowa, tuląc córkę, w modlitwie, cofała się, zakryta wózkiem i końmi. Jadzia woła: »Dawajcie rusznicę!« Janasz rachował czas, jak długo będą mogli utrzymać się, myślał czy cofać się dalej, czy stać w miejscu.

Cofanie się ścieśnioną garścią nie było też dobrem, gdyż stawiało ich na cel strzałom. Tatarska dzicz ogromnem kołem objęła ich z przodu. Kilka koni i ludzi rannych od strzałów padło; rozjuszyło to więcej jeszcze napastników, którzy coraz bliżej nacierali.

Z rozpaczą ujrzał Janasz, że część Tatarów z końmi, część odbiegłszy koni, na prawo i w lewo puściła się gąszczami, widocznie dla osaczenia obu ścian wąwozu, z których wierzchołków strzałami wygodnie schowanych tam ścigać mogli i zmusić wkońcu do poddania się. Ksiądz Żudra posłyszał drapanie się poprzez krzaki i mimowolnie wydał okrzyk:

— Teraz jesteśmy zgubieni!

Matka pociągnęła ku sobie gwałtownie córkę, objęła ją ramionami i obie tak stały, czekając, co Bóg przeznaczył i chcąc już tylko razem ginąć.

Lecz pierwsze łby i krymki tatarskie, co się górą w wąwozie ukazały, ledwie miały czas wyjść z gąszczy. Jednego kulą obalił Nikita, drugiego Janasz. Z lewej strony rażony Tatar próżno chciał się chwycić za krzaki; potoczył się po stromej ścianie, brocząc ją krwią i zawisł niemal nad miecznikową, w splecionych korzeniach drzewa, w które się uplątał. Lecz w miejsce ich już cisnęli się drudzy. Obrona ze wszech stron stawała się niepodobieństwem; rusznice nabijać było potrzeba, a znosić sypiące się strzały. Janasz już ran miał kilkanaście. Szczęściem gruby kaftan, który wdział dnia tego, znaczniejszej ich części nie przepuścił głęboko. Tkwiły w nim i opadały.

Jednego z ludzi strzała raziła w oko i utkwiwszy aż w mózgu, ubiła w miejscu; potoczył się z konia, chwytając go rękami, jęcząc i konając. Ks. Żudra pochwycił za cugle konia, głową pożegnał miecznikową, i dosiadł go, biorąc po zabitym rusznicę.

W prawo i w lewo z gąszczy cisnęła się tłuszcza z wrzaskiem dzikim. Tak byli pewni jeńców, że już strzelać zaniechali; coprędzej tylko spuszczali się w dół, aby kobiety pochwycić. Znać było, że im szło o nie i o to, kto je pierwszy porwie, aby do okupu miał prawo. Miecznikowa i córka stały chwilę osłupiałe, głowami przytulone do siebie; lecz nagle Jadzia się porwała. Twarz jej pałała.

— Janasz! — krzyknęła — pistolet! dawaj broń!

— Dawajcie broń! — zawołała miecznikowa — broni! broni!

Korczak, który się cały w tę stronę obrócił, chwycił istotnie pistolet, który coprędzej nabił, drugi wziął od człowieka i podał obu kobietom. Tatarzy zsuwali się po ścianach wąwozu w dół. Chwila była straszna.

Ze dwudziestu ich naliczył Janasz, już niemal dosięgających dna wąwozu. Od doliny, nie broniąc się nawet, dawał ognia na tych, którzy już w środku parowu grozili. Szło nie o to, aby się ocalić, gdyż ocalenie było niepodobieństwem; ale aby umrzeć rycersko i walcząc do ostatka.

Dwóch Tatarów na pół wyżyny wąwozu, ugodzonych śmiertelnie, stoczyło się konać na dno, i wiło się o kilka kroków od miecznikowej. Janasz celował do najbliższych. Coraz to wśród wrzasku tego krzyk rażonego słyszeć się dawał, a za nim mściwe odgłosy napastników, coraz bardziej rozjuszonych.

Jak zwity kłąb wężów na wiosnę, kilkunastu razem Tatarów puściło się wreszcie z góry wprost ku kobietom. Jednego z nich trafiła kula i posoką obluzgał wszystkich; spuścili się, ciągnąc z sobą już trupa na dół, a zaledwie oparłszy się o ziemię skoczyli ku wozowi i wprost do miecznikowej.

Najpierwszemu, który się zbliżył, dopuściwszy go niemal do siebie, gdy już ręką sięgał, aby ją pochwycić, pani Zboińska roztrzaskała głowę strzałem z pistoletu; padł, a dwóch innych rwało ją już za ramiona. Jadzia strzeliła, nie wiedząc sama jak, spostrzegłszy dziką, zwierzęcą twarz nad sobą. Janasz był tuż i dobytą szablą płatał, co napadł.

Ksiądz Żudra, który nie miał broni, wyłamał wysiłkiem gwałtownym lusznię od wozu i bił nią po łbach cisnących się napastników.

Chwila to była straszliwa.

Wśród tej wrzawy krzyk i tentent głośniejszy niż dotąd zawrzał od doliny. Janasz odwrócił się, spodziewając się ujrzeć za sobą Tatarów, którzy teraz mogli siąść już na kark prawie bezbronnym — gdy ze zdumieniem spostrzegł, że ta tłuszcza, co opasywała dokoła, zaczynała się rozpierzchać szybko. Niektórzy popuszczali nawet konie, które samopas rozbiegały się po dolinie. Z prawej strony sypnęły się z niewidzialnego miejsca, osłonionego drzewami, strzały broni ognistej; w ostatku z małego działka polowego huknęła kula. Tatarzy pierzchali.

Niewidzialna siła jakaś przyszła w pomoc. Jeszcze chwila, a z Tatarów zostali tylko pozabijani i dogorywający.

Miecznikowa dopiero teraz, czując się ocaloną, osłabła i oprzeć się musiała na córce, której lice pałało. Słowa jeszcze przemówić nie mogły obie, ściskały się ze łzami. Ludzie opatrywali sobie wzajemnie rany, bo wszyscy niemal byli ranni; ale uszedłszy śmierci i jassyru, śmiali się już i wykrzykiwali.

Ksiądz Żudra zsiadł z konia.

— Na kolana! co należy Bogu za ocalenie! — Stał się cud!

Janasz chciał się z konia zsunąć, ale zaledwie nogą dotknął ziemi, uczuł mrok jakiś na oczach, za piersi się chwycił i upadł. Nikita ranny także, podchwycił omdlałego.

W chwili gdy, klęcząc, modlili się, a ks. Żudra głośno odmawiał: »Cześć Ci i chwała, Boże Zastępów!« naprzeciw wąwozu ukazał się na koniu mężczyzna. Podniósł czapkę, czekał, aż się skończy modlitwa.

Wszystkich oczy zwróciły się ku niemu. Człek był niepowszedni i nie z tych, co się każdego dnia spotykają. Budowy ogromnej, lecz jakby z samych kości zbudowany, chudy. Łeb śpiczasty, twarz długa a żółta, wąs siwy ogromny, szyja żylasta ogorzała, nogi długie, ręce niedźwiedzie, w pasie wąski, szeroki w piersiach, na koniu silnym i rosłym. Strój też miał na sobie osobliwy. Kaftan łosiowy, piko-

wany spodem, na nim kontusz wytarty z grubego sukna pąsowego, na piersi kawał zbroi i ryngraf*) złocisty z Matką Boską, na głowie misiurkę złoconą z czepcem drucianym, a w nią u góry wpięte pióro czaple. Szarawary jedwabne karmazynowe, buty do kolan, za pasem pistolety, szabla u boku, rusznica u siodła. Wszystko to było zużyte, stare, ale mocne, a sam człek krzepki.

Popatrzył na kobiety, na omdlałego Janasza, na ludzi postrzelanych i leżące trupy i przeżegnał się.

— Czołem! — rzekł, kłaniając się zwolna i rękę przysuwając do misiurki. — Jeśli się nie mylę, jaśnie wielmożna miecznikowa Zboińska.

Podniosła się z ziemi pani miecznikowa, wpatrując się w dziwne to zjawisko.

— Przypominam się... miałem-ci ja honor i szczęście, lat temu prawda dziesięć, przez półtory godziny gościć w Mierzejewicach, pułkownik straży granicznej, Jan Gracyan Dulęba.

— Winniśmy ci, pułkowniku, życie i wolność! Lecz jakimże sposobem?

— Ale, ba! Opatrzność Boża — rzekł Dulęba — Ja tych psich synów, z pozwoleniem pani, tępię, ścigam i jak mogę nękam. — Otóż Bóg mi dał, że ich, zwąchawszy w Czarnej Bałce, schwytałem na zasadzce.

Spojrzał na Janasza, Jadzia cała we łzach, przyklękła była przy leżącym i płakała, ocierając mu twarz ze krwi.

— Nic mu nie będzie temu młodzieńcowi, trochę krwi stracił, a no, wody! — rzekł Dulęba.

Na wózku była szczęściem i woda w baryłce, i wino. Jadzia już cała rannym zajęta, pobiegła po jedno i drugie. Pułkownik spojrzał znowu na leżące trupy Tatarów, z których jednego zabiła miecznikowa, drugi ranny był strzałem Jadzi i oderwaną miał szczękę.

— I myśmy dziś wyszły na żołnierzy — odezwała się miecznikowa — jednego, zdaje mi się, zabić ja musiałam, drugiego postrzeliła Jadzia.

— Bohaterki! — zawołał Dulęba. — A ja dziś szczęśliwszy, niż w całem życiu mojem, że tak przybyłem w porę, ażeby ocalić drogie życie wasze.

— Jeden z naszych zabity — odezwała się miecznikowa.

— W dobrej sprawie zginął — rzekł Dulęba — piękna śmierć, niema go co żałować. Umrzeć trzeba, a jużci lepszego zgonu niema niż w polu, bodaj od tej paskudnej strzały tatarskiej.

Gdy Dulęba spokojnie, wyprostowany, rozprawia z miecznikową, Jadzia, ciągle klęcząc nad Janaszem, cuci go i ociera. Własną ręką musiała, przemagając obawę i wstręt, wyjąć kilka strzał, które jeszcze tkwiły w nim. Rany nie były niebezpieczne, lecz było ich wiele i krew płynęła obficie. Janasz począł się ocucać, oczy otworzył, zobaczył twarz Jadzi i prędko je zamknął. Dopiero po chwili, głos jej usłyszawszy, przyszedł do siebie i podnieść się usiłował.

— Panno Jadwigo, proszę iść do matki — rzekł — proszę... — i oczyma wskazał ku niej.

Jadzia się nie ruszała. Wyciągnął ku niej rękę, nie czując, że krwi była pełna. Jadzia ścisnęła ją, zaczerwieniwszy się, gdy ciepłą tę krew uczuła. Nikita szepnął, aby odeszła, i dała się nareszcie znaglić do tego. Spojrzała na rączkę swą zakrwawioną i wzdrygnęła się.

Pułkownik naglił do powrotu.

— Jeżeli pani miecznikowa pozwoli, przeprowadzę do Gródka — rzekł — choć w drodze niema się czego obawiać. Tałałajstwo to, gdy raz pierzchnie, bierze nogi za pas i nie oprze się aż na stepie.

Ksiądz Żudra zajmował się rozporządzeniem powrotu. Janaszka trzeba było położyć na wózku, bo zdało się, że konno jechać nie mógł. Na luźnego konia musiano ciało zabitego przywiązać, aby go nie zostawiać tak na pastwę nocną dzikiemu zwierzu. Dulęba samowtór ofiarował się do konwoju, rozporządziwszy swoim oddziałem. Nim jednak przyszło do wyruszenia z miejsca, Nikita rany Janaszka pozawiązywał, obmył i Korczak, napiwszy się trochę wody i wina, wstał o swej sile. Blady był wprawdzie, nogi miał nie bardzo pewne, lecz zaklinał się, że z pomocą Nikity na koniu dojedzie.

— Gdzież Dorszak? – spytał Dulęba. — Był on tu? Zabili go może?

— Jeśli się nie mylę — rzekł ksiądz Żudra — on drapnął...

— E! to kawał franta, żeby nie rzec gorzej! — mruknął pułkownik — ja go znam i zdala nań mam oko. Ja tu na Podolu od lat wielu. Ten człowiek mi Ormiankę, z którą się żenić miałem, pochwycił, obałamuciwszy rodziców, z pod nosa i serca. Jeśli przypadkiem zginął, no, to powiem tylko, że tak delikatnej śmierci nie wart był. Winien umierać na gnoju.

Ruszano w drogę. Panie jechały milczące obie, przytuliwszy się do siebie. Pułkownik, chociaż go nikt nie słuchał, rozprawiał głośno, niekiedy zwracając się do Janasza i księdza i wywołując ich potwierdzenie.

Gdy z wąwozów, które się im wydały teraz nieskończenie dłuższemi, wydobyli się na dolinę, w której zamczysko na jaśniejszem niebie czarne stało i ponure, był już wieczór późny, noc prawie. W miasteczku ledwie parę okien świeciło.

Po odjeździe miecznikowej, kilkunastu ludzi jej dworu, pozostałych pod dowództwem prostego hajduka Hołoby, zabawiało się przy dzbanach i porozsiadali swobodnie na murach. Nakazał im był Janasz pilnie strzedz wewnętrznego zamku i dwóch umieściło się we drzwiach na progu, lecz reszta używała wczasu i zawodziła tęskne pieśni. Nudno im było w tym obcym kraju, radziby byli powracać co rychlej. Rozmowy rozlegały się po murach, gdy z górnej baszty Waśko zawołał, podnosząc rękę.

— Hej! hej! co koń wyskoczy, ktoś leci na zamek! Co to jest? Koń Dorszaka! To Dorszak, ale sam! Poskoczyli niektórzy na mur patrzeć, inni ku wrotom.

Popędził i Hołoba. Spojrzał i zawołał:

— Na miejsca! Każdy na swoje!

Sam ku bramie pobiegł.

A tu już na moście tentent się rozległ i w pierwszym dziedzińcu krzyk. Hołoba skoczył skąd głos go dolatywał i nadszedł, gdy Dorszak okrwawiony, w odzieniu poszarpanem z konia się staczał. Parobcy jego nadbiegli także. Dorszak pomazany krwią, opylony, z niezmiernem wzruszeniem, krzyczał:

— Tatarzy! Tatarzy!

Hołoba stał przed nim drżący.

— Pani nasza! gdzie pani!

— Albo zabita lub w niewoli! — zaryczał Dorszak, udając przerażenie i rozpacz, i łamiąc ręce.

— A wy! wyszliście cało! — odezwał się z giewem Hołoba. — A jakże to może być!

Spojrzał nań ponuro Dorszak.

— Milczeć! Co ty mnie tu sądzić będziesz, chamie jakiś! Broniłem, póki mogłem, dobrze, żem z życiem uszedł.

Hołoba stał blady i oniemiały.

Biegli i inni ludzie z górnego zameczku.

---

*) Obraz na blasze, noszony przez rycerzy polskich.

Dorszak kazał sobie przynieść wody i wódki, i nie wchodząc do domu, napił się w dziedzińcu. — Twarz jego zamazana krwią i pyłem, wyglądała nie lepiej od tatarskiej, jakaś niecierpliwość i niepokój go opanowywały. Chodził, jakby niepewien, co pocznie, naradzając się sam ze sobą. Parobcy niemi patrzyli nań, w ganku Horpynka przestraszona i Tatiana z rękami w tył założonemi. Chwila upłynęła. Hołoba nieco do siebie przychodzić zaczął.

— Ale jakże się to stało? — odezwał się.

Dorszak, gdyby rażony, odwrócił się wściekły.

— Kroć sto! co tobie mnie pytać? jak śmiesz? Ja tu pan, ja tu teraz pan!

Hajduk podniósł głowę, nie odpowiedział nic i cofnął się. Skinął na swoich, którzy stali osłupieli, i pociągnął ich z sobą na górny zamek. Dorszak oczyma poszedł za nimi.

Ważył jeszcze, co pocznie, aż ręką machnął i szybkim krokiem udał się na górny zamek.

W bramie stał Hołoba z ludźmi, z rusznicą w ręku, pałaszem u boku. Dorszak, postrzegłszy go, mruknął:

— Ja tu teraz odpowiadam za wszystko, i wy, i co jest, należycie do mnie. Tu ja rozkazuję.

Hajduk dał mu mówić, patrzył nań z podełba.

— Paneczku — rzekł drwiąco — mnie tu postawili na straży, i póki ja żyję, ani wasza, ani niczyja noga tu nie stąpi.

Podniósł rusznicę do pół. Dorszakowi zatrzęsły się ręce, odstąpił krok.

— Coście wy poszaleli? — zaryczał. — Pani zabita, z tamtych nie wiem, czy noga ujdzie. Ja odpowiadam za wszystko przed miecznikiem.

— Pewnie! naprzód za życie jejmości i jedynego pańskiego dziecięcia! — przerwał oburzony Hołoba. — Siebie toście uratowali przecie!

Zmierzyli się oczyma, lecz Hołoba się nie zląkł wcale.

— Ja was tu wszystkich, zwoławszy ludzi z miasteczka, powiązać każę i do lochu wrzucę.

— A no! abo my co lepszego od pani! — wrzasnął hajduk. — Panią wydaliście Tatarom, możecie i nas im sprzedać!

Słowa te natchnęły snać Hołobie to, co słyszeć mógł na miasteczku między ludźmi. Z niewypowiedzianą złością rzucił się ku niemu Dorszak, ale zmiarkowawszy, że za słaby jest, odstąpił. Krzyknął na parobka. Ten ukazał się z za muru.

— Na miasteczko! ludzi zwołać na zamek!

— Dzieci! — krzyknął Hołoba na swoich — rusznice sposobić! do bramy! do mnie!

Ruszyli się wszyscy Podstarości, któremu się zdawało, że zastraszy, począł chodzić przed wrotami cały w pasyi, pięści podnosząc. Milczenie trwało kilka minut. Zbliżył się do hajduka, łagodniejąc.

— Nieszczęście się stało! — zawołał jęczącym głosem — cóżem ja temu winien! Któż to mógł przewidzieć szajkę Szejtana? Nie bądźcież bezrozumni!... trzeba to ocalić, co zostało. Puśćcie mnie, pozamykać muszę i spisać.

— Pozamykano — rzekł hajduk krótko.

— Ale cóż wy poszaleliście, czy co? jutro lub pojutrze głodem was wezmę.

— A no! jak się uda — odparł Hołoba — ja i jutra czekać może nie będę; wozy spakuję i pojadę z nimi do domu.

— Ja nie puszczę! ja przed panem za to stoję — krzyczał Dorszak.

— Albo ja! tak dobry przed panem, jak i wy — wtrącił Hołoba.

— A to piekło z tą hołotą! — zaśmiał się dziko, tupiąc nogami i zgrzytając zębami Dorszak.

Hołoba tymczasem wrota i furty założyć kazał drągami i znikł. Podstarości pochodził jeszcze, rwąc się za włosy i skoczył do domu. W ganku stała, jak wprzódy, Tatiana.

Dlaczego mu tak pilno było dostać się na górny zamek, to się tem chyba tłómaczyć może, iż się skarbu domyślał i coprędzej go w ręce swe chciał pochwycić. Pomiarkował jednak, wysławszy na miasteczko zwoływać gromadę, że zbytni rozgłos natychmiast po wypadku nie był dobry. Kazał Horpynie odwołać nazad posłanych, aby wracali. Tatiana patrzyła mu w oczy, tak, że jej natrętnego wzroku nie mógł znieść.

— No, może teraz jejmość wypuścić? szepnęła.

— Jeszcze nie czas, niechaj siedzi ta jędza, nic się jej nie stanie. Mnie tam trzeba! Ludzie poszaleli, puszczać nie chcą. Idź ty do nich, powiedz im, że ich zły los spotkać może. Ty się z nimi rozmówisz lepiej.

Tatiana pokręciła głową, krótko go zbyła słowem: »Nie chcę!« I powróciła do domu, uchylając się od dalszej rozmowy. Na przymurku od schodów stała flaszka z wódką; Dorszak się napił, namyślał się widocznie co robić. W chwili upojenia jakiegoś osnuł tę zdradę; teraz, mimo hartownego sumienia, pomimo że mu się zdrada powiodła, czuł ten niepokój, który zawsze opanowywa po dopełnionej zbrodni. Strach go ogarniał niewysłowiony, choć nie spowodowany niczem. Każdy szelest go przerażał. Co chciał uczynił i radby był odwołać to, co zrobił.

Wieczór nadchodzić zaczynał, na drugim dziedzińcu zatarasowali się ludzie, postawili straż i słychać było, jakby już znosili i zrzucali rzeczy a zabierali się do drogi.

Zbiegł ze schodków i bez myśli kołując tak, gnany niepokojem, zeszedł aż do mostku. Chciał widać do miasteczka sam iść, aby ze starszyzną pomówić. Gęsty mrok padał, noc się zbliżała. Wahał się, iść czy odłożyć na jutro?

Wtem bystre ucho jego pochwyciło jakby tentent koni w dolinie. Stanął. Wieczór był cichy, milczenie grobowe, po spadłej rosie wieczornej głos się rozchodził z dala. Dorszak pojąć nie mógł, co tentniało. Stado z paszy idące inaczej bieży. Rozeznawał konie kute i regularny, powolny chód ich ciężki. Zdało mu się, że słyszy szczęk broni. Oczy otworzył, chcąc coś ujrzeć w dali; lecz mrok na dolinie pochłaniał wszystko.

Jak błyskawicą przeszła mu po głowie myśl, że się ocalić mogli; ale się z niej rozśmiał, jak z dziecinnego strachu.

Tymczasem tentent się coraz przybliżał, słychać było skrzypienie wózka, a nawet donośny głos rozprawiającego niezmordowanie Dulęby. Włosy Dorszakowi najeżyły się na głowie, drżeć zaczął.

— »Duchy!« — Nie wierzył w duchy. Strach coraz większy go ogarniał; tentent się już przybliżał do mostu. Nie licząc nic, nie wiedząc nawet dobrze, co czyni, Dorszak spuścił się w parów, nad którym stał most, z takim pędem, że gdy się za gałęzie krzewów nie chwycił, byłby się potoczył na dno. Wkrótce potem na most wjeżdżał Dulęba i na pół omdlały Janasz, i wózek, z którego wysiadła miecznikowa z córką. Wszystko to ciągnęło w milczeniu żałobnem, ludzie tylko szeptali między sobą, a Dulęba głośno coś rozprawiał o Ałsan-Ghiraju.

Dorszak poznał go po mowie. Nie mógł dojrzeć, kto jechał, kto ocalał, kto zginął; lecz jasne suknie kobiet mignęły mu przez szczeliny mostu, i dłonią uderzył się po czole. Zdało mu się, że widma wracają z drugiego świata. Dulęby przytomność tłómaczyła cud. Zgrzytnął zębami. Nadrabiać zuchwalstwem

i pokazać się na zamku, czy uciekać? Nie ruszając się ze swej kryjówki, myślał tylko o tem.

Jak się tłómaczyć? Uchodzić? Wahał się a pot zimny spływał mu po skroni. Słyszał, jak zdala na zamku okrzyki się słyszeć dawały i wrzawa, jak ludzie witali ocalonych.

— Nie, uciekać trzeba! uciekać!...

Przemknął się biegiem popod szopami, kryjąc się do murowanej budowy, wbiegł na schodki, wszędzie było pusto. W izbach mieszkalnych i pociemku mógł znaleźć, co chciał. Dopadł szafy, którą otworzył, dobył z niej skórzany trzos, którym się opasał, zarzucił burkę na ramiona, posłuchał, i nazad puścił się schodami. Szczęściem nie spotkał nikogo. Wyjrzał z ganku, podwórze stało puste i ciemne; z przeciwnej strony dochodził gwar i wrzawa ludzi miecznikowej. Jednym skokiem stanął na dole, a do szop, w których były konie, miał dwa kroki. Dorszak miał czas konia znaleźć, kulbakę z kołka zdjąć i drżącemi rękami rzucić ją na grzbiet najlepszego ze swoich wierzchowców. Uzda i popręgi nie zabrały wiele czasu. Konia wyprowadził po cichu i korzystając z ciemności, wywiódł go powoli przez most, wybierając tak miejsca znane sobie, aby jak najmniej tentniało. Zaledwie minął most, rzucił się na siodło, cugle zebrał, nahajką ściągnął konia co siły i popędził w czarną noc, nie pytając o drogę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Posłowie włościańscy do Rady państwa.

(Dokończenie).

W numerze niniejszym podajemy resztę podobizn posłów włościańskich do Rady państwa. Niektórych posłów dobrych fotografii, mimo usilnych starań, nie zdołaliśmy uzyskać, przeto nie mogliśmy ich umieścić w „Roli". Wszystkie portrety z „Roli" i kilka innych, szczególniej posłów z miast, podamy w Kalendarzu „Roli" na 1912 rok.



Andrzej ks. Lubomirski
(konserwatysta).



Aleksander hr. Skarbek
(narod demokr.).



Cezar Haller
(konserwatysta).



Dr. Stanisław Biały
(ludowiec).



Dr. W. Czajkowski
(konserwatysta).



Adam hr. Gołuchowski
(konserwatysta),



Klaudyusz Angerman
(ludowiec).



Dr. Ignacy Wróbel
(ludowiec).



Michał Jedynak
(ludowiec).



Stanisław Śmiłowski
(ludowiec).



Jan Kubik
(ludowiec).

Gawędy o Różnych Sprawach.

Walka z lichwą.

Ktoby chciał wyliczać zakłady, które najwięcej przysłużyły się w naszym kraju do podniesienia włościaństwa, to na pierwszem miejscu musiałby postawić Kółka rolnicze, a zaraz na drugiem kasy Raiffeisena, które wyrzuciły lichwiarzy ze wsi i podniosły znacznie dobrobyt. Jak lichwa przed zaprowadzeniem kas Raiffeisena była rozpanoszona po wsiach, o tem wiemy wszyscy dobrze i nie potrzebujemy o to pytać dziadków, bo to temu nie tak dawne czasy. Były to dobre, błogie czasy dla wszelkiego rodzaju lichwiarzy żydowskich, którzy jak pijawki ssali biednego naszego chłopa. Koniec był najczęściej taki, że po kilkunastu latach taki przybłęda chałatowy przychodził do majątku, był panem obszernego pola i nieraz kilku chałup a równocześnie tylu gospodarzy wiejskich poszło na żebry. Taki lichwiarz żydek nie powiedział otwarcie chłopu: Macieju, ja wam pożyczę sto reńskich a wy mi będziecie płacili od nich 120 lub 150 procent rocznie, to znaczy, że mi po roku oddacie i te 100 reńskich i nadto jako procent dacie mi 120 reńskich, lub 150 reńskich, bo chłopby się tak wielkiej sumy przeląkł i nie chciałby pożyczać. Sprytny żyd inaczej sobie z chłopem radził: poklepał poufale po ramieniu Macieja, o którym wiedział, że ma dosyć gruntu, w razie niezapłaty będzie go miał z czego obedrzeć — i tak mniej więcej mówił do niego: ja wiem, że wy Macieju jesteście porządny gospodarz, to ja wam wyjątkowo pożyczę na bardzo tani procent. Od stu reńskich ja nie chcę nic więcej jak żebyście mi dali bardzo mało tygodniowo, więcej nie, jak 10 jajek, 1 faskę masła i do tego 1 reński. Chłop podrapał się po głowie, utargował jedno lub dwa jajka i zgodził się, bo pieniędzy było potrzeba koniecznie, gdyż krowa padła lub stodoła się spaliła, a znikąd indziej pożyczki nie mógł dostać. Zresztą zdawało mu się, że to tygodniowo nie jest tak dużo. Gdy z ratami zalegał, żyd mu je liczył i za rok, dwa, kwota urosła do 300 reńskich lub więcej, przyszła licytacya i wieśniak poszedł w świat z torbą.

Jeszcze lepszy interes robił lichwiarz, pożyczając rozmaitym gospodarzom małe kwoty, n. p. od 1 reńskiego kazał sobie płacić procentu 10 centów tygodniowo lub n. p. 2 jajka, co na rok wynosiło 520 procent, czyli za pożyczkę 1 reńskiego wieśniak płacił 5 reńskich 20 centów.

Z nastaniem kas Raiffeisenowskich lichwa prawie ustała. Gdzie tylko w gminie znajdzie się kilku rozsądnych, dzielnych włościan, tam powstaje taka wspólna kasa, z której wieśniacy otrzymują pożyczki na tak mały procent, jakiego nigdzie na świecie nie dostaliby i składają do kas swoje oszczędności. To też przyszła bieda na lichwiarzy. Wielu z nich straciło łatwy, bo bez żadnej pracy, a dobry zarobek.

O rozwoju kas Raiffeisenowskich w 1910 roku Biura patronatu dla spółek oszczędności i pożyczek podają następujące daty: W roku 1910 ilość spółek oszczędności i pożyczek wzrosła o 119 i doszła do pokaźnej cyfry 1165. Stan udziałów członków wynosił we wszystkich spółkach 2 miliony 32 tysiące 847 koron, a suma wkładek oszczędności wynosiła w r. 1910 poważną cyfrę 41 milionów 618 tysięcy 253 kor., tj. o 8 milionów więcej niż w r. 1909. Najwięcej z tego w oszczędności posiadają spółki w Galicyi zachodniej, bo 28 milionów to jest 66 procent; w Galicyi środkowej stan wkładek wynosił 8·5 miliona t. j. 21 procent, a we wschodnio-galicyjskich 5 milionów t. j. 11 proc. Książeczek wkładkowych było w roku 1910 w spółkach 83.820 w porównaniu z rokiem 1909 przybyło 18.544 książeczek, zaś na jednę książeczkę przypadało przeciętnie 496 kor. wkładek. W zachodniej Galicyi wykazały najwięcej wkładek spółki powiatu myślenickiego 1 milion 878 tysięcy kor., najmniej kasy powiatu żywieckiego 117 tysięcy kor. Najzasobniejsza co do wkładek oszczędności w r. 1910 była spółka zachodnio-galicyjska w Szczucinie, miała bowiem 475 książeczek na sumę 525 tysięcy 484 kor.

W roku 1910 spółki udzieliły pożyczek 70.632 członkom na łączną kwotę 22 miliony 663 tys. kor. Ogólny stan udzielonych członkom pożyczek wynosił po koniec roku 1910 sumę 43·5 miliona koron. Największa ilość pożyczek tj. 37 proc. przeznaczona była na spłatę uciążliwych długów. Pożyczki na kupno gruntów stanowiły 19 proc. ogólnej ilości pożyczek, 1052 spółki zamknęło rachunki za rok ubiegły zyskiem, a 37 spółek stratą. Czyste zyski spółek wynosiły 404 tysiące 334 kor. t. j. przeciętnie 384 kor. na jedną spółkę. — Obroty kasowe spółek wzrosły w roku 1910 do olbrzymiej cyfry 94 milionów 321 tys. kor., o 16 milionów więcej niż w roku 1909.

Te suche daty niemniej są ciekawe. Uczony statystyk z kilku takich cyfr bardzo dużo wyczyta a prosty włościanin przynajmniej dowie się, co to znaczy, jak się chłopi gromadnie złączą w jakimś celu mądrym i pożytecznym. Każdy wieśniak, przeczytawszy te cyfry, pomyśli sobie: Co to za strasznie pożyteczne są te kasy Raiffeisena. To te 22 miliony koron, które teraz włościanie ze wspólnej kasy pożyczają, dawniej musieli pożyczać u żydowskich lichwiarzy. Ileż to ci lichwiarze zjadali chłopskich pieniędzy, ssali większą część oszczędności chłopskich, które teraz rosną w kasach. A ile to tych pijawek wskutek tych kas musiało się przerzucić do uczciwej pracy, albo wynosić się z kraju.

Jednak nie można powiedzieć, że już w naszym kraju lichwa ustała. Grasuje ona, ale w daleko mniejszych rozmiarach. Nie licząc tych włościan, którzy, nie posiadając żadnego majątku, nie mogą pożyczać z tych kas i z powodu swej nieporadności pożyczają u lichwiarzy. Niestety jest u nas jeszcze wiele wsi, które spółek raiffeisenowskich nie mają. Spółki te w roku 1910 obejmowały tylko 3507 gmin wiejskich i małomiejskich. A ponieważ w całej Galicyi jest 6216 gmin wiejskich i małomiejskich, przeto było jeszcze 2709 czyli 45 proc. takich gmin, które spółek nie miały, ani nie należały do okręgów ich działalności. Ludność zamieszkująca okręgi spółek wynosiła 3 miliony 646 tysięcy dusz, a że ludność wiejska i małomiejska całego kraju wynosiła 6 milionów 431 tysięcy ludności, przeto poza obrębem działalności spółek pozostawało w ubiegłym roku 2 miliony 784 tysiące ludności.

Nakoniec należy zrobić jeszcze dwie uwagi. — Spółki raiffeisenowskie dostarczają bezsprzecznie najtańszego kredytu a gdyby nawet gdzieś można było dostać jeszcze tańszego kredytu, co jednak nieprwda, to pozostaje przecież w zysku kasy, która jest jakby wspólną własnością i nie wypycha się kieszeni obcych.

Druga uwaga: Przy pożyczaniu nawet przy tak tanim procencie, jaki jest w dobrze i na większą skalę urządzonych, należy zawsze pamiętać tę złotą zasadę: Nie pożyczać na takie rzeczy, które majątku nie powiększają np. na wesela, zabawy, ubiory itp., chyba kiedy wymaga tego konieczna potrzeba n. p. ciężka choroba w rodzinie. Pożyczać się powinno tylko np. na zakupno gruntu, na spłatę długu, od którego płaci się większy procent, niż w kasach Raiffeisena, na sprawienie inwentarza itd, a więc na takie rzeczy, które przynoszą korzyść.

Ucieczka z trumny.

Nie zawsze można być pewnym śmierci człowieka z chwilą, gdy wydał ostatnie tchnienie, lica pokryły się bladością, serce bić ustało. Liczne przykre wypadki wskazują, że niejednokrotnie śmierć była tylko pozorną, czyli tak zwanym letargiem. W takim mniemanym nieboszczyku iskra życia utaja się tak głęboko, że często i lekarze nie są w stanie rozróżnić, czy śmierć jest rzeczywistą czy pozorną. Zdarza się niejednokrotnie, że na drugi dzień po pogrzebie grabarz słyszy z pod świeżo usypanej mogiły słabe stukanie. Gdy jest rozumnym człowiekiem, bierze w tej chwili za łopatę i odkopuje żywcem pogrzebionego człowieka. Zazwyczaj jednak grabarz się przestraszy, pobiegnie do księdza, do kościelnego, zwoła ludzi ze wsi i wówczas dopiero biorą się do odkrycia trumny. W takim razie okazywało się często, że zastawali w niej już istotnie nieboszczyka. Ale nie leżał na wznak, jak go ułożono na wieczny spoczynek, lecz bokiem lub grzbietem do góry, zaś palce u rąk miał do krwi pogryzione i widoczne było, że tam, pod ziemią, obudziwszy się z letargu, strasznie walczył ze śmiercią, chciał unieść wieko trumny, powietrza mu coraz więcej brakowało, aż wreszcie umarł naprawdę — z uduszenia. Nie można wiedzieć, ile razy chowamy prawdziwego nieboszczyka, a ile razy przysypujemy ziemią letargiem dotkniętego. Oczywiście, że procent pogrzebanych w letargu nie może być wielki, oznaki śmierci bowiem, gdy ciało trzeciego dnia zaczyna wydawać woń trupią, są niewątpliwe.



W wypadkach jednak, zdarzających się po wsiach, gdzie nie lekarz, lecz zwykły włościanin jest »oglądaczem« umarłych, jeśli umiera ktoś, co długo nie chorował i wygląda w trumnie świeżo i żywo, nie powinno się bezwarunkowo zarządzać pogrzebu, zanim lekarz nie stwierdzi gruntownie śmierci nieboszczyka. Wypadek pozornej śmierci wydarzył się przed niedawnym czasem w Zworniku, w Bośni. Oto włościanin tamtejszy Rakic umarł i został ułożony w trumnie. Któż jednak opisze przerażenie wdowy i domowników, gdy po niejakim czasie nie znalazła męża w trumnie? Cała rodzina i sąsiedzi nie mogli wyjść z podziwu, co się stać mogło. Czy kto wyniósł nieboszczyka z trumny? Ale ktoby to mógł zrobić i w jakim celu? Wreszcie wyjaśniła się zagadka. Jedno z dzieci Rakica zaszło aż na koniec długiego ogrodu nieboszczyka i przybiegłszy stamtąd, zaczęło wołać, że ojciec »śpi w ogrodzie«. W tej chwili pobiegli do ogrodu domownicy, zastali leżącego na murawie gospodarza — lecz już był bez życia. Rakica pozornie zmarłego ułożono w trumnie, skąd, na chwilę odzyskawszy przytomność, zwlókł się do ogrodu, gdzie już naprawdę umarł. Obrazek nasz przedstawia ten wypadek pozornej śmierci.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

VIII.

Smutny byłem; coraz bardziej dziwne wypadki budziły w moim umyśle straszne podejrzenia. Jechałem, milcząc i nie słuchając tego, co mi Antek prawił całą drogę. Na dziedzińcu dworskim zastałem Hiszpana, siedzącego pod cieniem starej lipy na ławce i odbierającego od posłańca, który widocznie dopiero co wrócił, listy. Kiedy zsiadłem z konia, Hiszpan, który odczytywał list, schował go do kieszeni z jakimś uśmiechem zadowolenia i rzekł:

— Pozwól poruczniku, że cię powitam! Słyszę na mustrze pan byłeś? Bardzo pięknie! i teraz, jak średniowieczny rycerz, okryty pyłem i znojem, wracasz w progi zamku, by spocząć po trudach, bodajto zawód żołnierski!...

Szczerze uśmiechnąłem się na ten szereg pustych a szumnych słów, wypowiedzianych jakby na teatrze.

— No — prawił dalej Hiszpan, trzymając w ręku paczkę listów — jakże się tam spało w pokojach pełnych straszliwych wspomnień, jak w średniowiecznym zamku niemieckim? Czy dobroczynny sen nie dał się spędzić z twoich oczu, poruczniku, żadnym widmom jęczącym, żadną księżniczką zaklętą?

— Nie — odrzekłem — budził mię tylko głos popsutego zegara, który zdaje się w sąsiednim pokoju stoi i wiele razy bije godzinę, to piszczy jak opętany.

Hiszpan spojrzał mi w oczy i cofnął się, nie wiem czy z prawdziwem, czy udanem zdziwieniem.

— Zegar?... i ten zegar idzie? *per Dio immortale!* *) Jeżeli tak jest, jeżeli pana młodzieńca rozgorączkowana fantazya nie łudzi, to w tem jest coś nadzwyczajnego!

— Cóż w tem dziwnego, proszę pana? — spytałem zimno.

— Ależ panie, tam w tych pokojach od lat kilkudziesięciu ludzka stopa nie stanęła, tam wszystko jest tak jak przed stuleciem, tam czas sam stoi, a zegar miałby iść?... Tam coś nadludzkiego się dzieje...

— Dlaczegóż daliście mi kwaterę w takich pustkowiach? — zawołałem zirytowany nieco.

— Czyż ja wiem dlaczego panu tam dano kwaterę? nie radzono się mnie wcale pod tym względem i doprawdy dziwię się, dziwię bardzo, że panu tam dano mieszkanie, a nawet oburza mnie to...

— Otóż — pomyślałem sobie — złapałem cię nędzniku na kłamstwie i fałszu bezczelnym. Dziwisz się dlaczego dano mi tam kwaterę, oburzasz się a sam ją wyznaczyłeś, sam tego chciałeś...

Od tej chwili postanowiłem sobie być bardzo ostrożnym z Hiszpanem, mieć się na wielkiej baczności, gdyż człowiek ten widocznie miał jakieś zamiary względem mnie, zresztą, kto szpieguje i kłamie, ten nie może być uczciwym człowiekiem.

---

*) Wykrzyknik włoski; znaczy to: »na Boga nieśmiertelnego«!

Myśli te przebiegały mi błyskawicą po głowie. Hiszpan dalej mówił, uśmiechając się jakoś złośliwie.

— Zresztą nie unośmy się, nie zapalajmy, gniew jest złym przewodnikiem rozsądku, należy być pobłażliwym sędzią ludzkich czynności, których pobudek nie znamy. Oto, panie, moja zasada w życiu, a moje życie nie zawsze szło po różach. Stosując tę mądrą, zbawienną zasadę do obecnego wypadku, przypuszczam, że dano panu kwaterę tam, bo nie miano pana gdzieindziej pomieścić tak wygodnie. Na parterze mieszkają damy i stary regimentarz — w oficynie ja... Nakoniec liczono na to, że pan nie dowiesz się o fantastycznych baśniach, tradycyach i podaniach, przywiązanych do tych tam pokoi, w które wszyscy mieszkańcy tego zamku wierzą, a które, mówiąc waszem polskiem trafnem i jędrnem przysłowiem, niucha tabaki nie warte wobec zdrowego rozsądku. Może wreszcie, bo któż zdoła odgadnąć, co leży na dnie myśli człowieczej, miano to przekonanie, że pan, jako żołnierz, śmiać się będziesz ze strachów i widm i ja, powiem ci poruczniku w zaufaniu, dla własnej satysfakcyi, dla honoru żołnierza waszego, starałbym się przekonać tutejszych mieszkańców, że wszystkie owe historye są wierutną bajką...

— A dlaczegóż pan tego nie uczynisz, panie markizie?

— Ja? alboż ja jestem żołnierzem? czyż jestem młodym? z mej twarzy czas dawno już starł brzoskwiniowy pyłek młodości, starzec jestem i wcale mi o to nie chodzi, żebym w oczach dam, w oczach dziewic tego zamku miał opinię rycerza bez trwogi i zarzutu, pan co innego...

— Nie rozumiem pana — odrzekłem zimno, ale w tej chwili przyszła mi myśl, żeby skorzysta z tej rozmowy i wyciągnąć Hiszpana na słówko, a mianowicie, dlaczego on mnie na to namawia. — Rzekłem więc:

— Zresztą, jakże ja to mogę zrobić?

Zaiskrzyły mu się oczy, przystąpił bliżej do mnie i prawie szeptać począł;

— O, jeśli ci tylko o to idzie, to najmniejsza, powiedz tylko, kiedy chcesz dostać się do pokoju, zwanego sułtańskim, a ja ci wystaram się o klucz. Należy tylko w nocy to uczynić, żeby cię nikt nie widział, bo tu dziwne mają przesądy co do tego pokoju i żeby całą sprawę zachować w tajemnicy.

W tej chwili zbliżył się do nas Łukaski z oznajmieniem, że panie czekają ze śniadaniem.

W pokoju jadalnym zastaliśmy już damy, pannę Maryę, zajętą przyrządzaniem kawy, Julcię bawiącą się obrywaniem listków z róży i piękną jak róża, ciocię nakoniec leżącą napół w fotelu, ze stołeczkiem pod nogami, wzdychającą ciągle i skarżącą się na utrapienia tego żywota i na swoją migrenę. Obok cioci zastałem dwóch piesków, z których jeden, jak się później dowiedziałem, nazywał się Amor, a drugi Kupido,*) dwa szkaradne, stare, zołzowate i dychawiczne psiska, z któremi stara panna się pieściła, cackała je i opychała ciastkami.

*) Oba te wyrazy łacińskie oznaczają miłość.



I spojrzała mi w oczy swemi ślicznemi źrenicami.

Po śniadaniu ciocia, z powodu gorąca, nie chcąc się ruszać, a ja myślę, że dla lepszego trawienia, bo jadła jak grenadyer, została w swym fotelu, a markiz przy niej, my zaś poszliśmy na taras, gdzie panny siadły do robótek, a ja zastawszy na maleńkim stoliczku ołówki i papier, począłem od niechcenia rysować widok, jaki się z tarasu rozpościerał na ruinę kościółka i dalekie lasy. Przez czas jakiś milczeliśmy, a ponieważ drzwi od pokoju, w którym był markiz i ciocia, stały otworem, słyszałem więc całe opowiadanie markiza o Eskurialu i przekonałem się, że ten człowiek nietylko nigdy w okolicy tej nie był, ale nawet nie czytał nic o tym pałacu i grobie zarazem królów hiszpańskich. Co do mnie, ponieważ miałem bliskiego krewnego w pułku szwoleżerów gwardyi, który to pułk, jak wiadomo, bił się w Hiszpanii, wiedziałem mnóstwo szczegółów o tym kraju, nieznanych zapewne cudzoziemcom, ale o których wszyscy rodowici Hiszpanie doskonale wiedzieli. — W umyśle więc moim powstała nagle pewna wątpliwość o hiszpańskości markiza Diego Cantalacillo Fontiveros.

Tymczasem panny nie dały mi się długo namyślać, ale zażądały, żebym im pokazał, co rysuję. Skoro obaczyły mój rysunek, Julcia klasnęła w białe rączki i zawołała:

— Ach! jakie to ładne! doprawdy, pan masz zdolności, panie poruczniku.

I spojrzała mi w oczy swemi ślicznemi źrenicami z gwiazd i błękitu i spłonęła krwią. Ten rumieniec, to wejrzenie, ten wdzięk nieuczony w całej figurce tak mię chwycił za serce, że gdyby mi dawano za ten rysunek nagrodę, zamieniłbym ją chętnie za jej jedno słówko pochwały.

Odtąd rozpoczęły się dla mnie godziny szczęścia i rozkoszy, najcudniejsze, najpiękniejsze chwile w mem życiu. Niestety, przemknęły one tak szybko, tak nagle, były tak krótkie, a jakaż czarna, rozpaczliwa noc po nich nastała.

Do obiadu przegwarzyliśmy ze sobą, prześmialiśmy się i przebaraszkowali. Rysowałem karykatury markiza. Zrobiłem go chudym, cienkim jak patyk, we fraczku i trzewikach, skradającego się na palcach poza plecyma dwóch rozmawiających osób. Gdy ten rysunek Marya wzięła do ręki, spostrzegłem się, że może za dużo sobie pozwoliłem, nie wiedząc na pewno, jakie stanowisko Hiszpan zajmuje w tym domu i w niemem oczekiwaniu patrzyłem na jej poważną twarz.

Patrzyła długo i oddając mi rzekła.

— Bardzo dobrze, bardzo trafnie, tylko że ołówek nie odtworzy kurczowego drżenia ust pana markiza i wejrzenia jego oczu.

Te wyrazy »pana markiza« wymówiła z pewnym ironicznym naciskiem w głosie i obejrzała się przytem trwożliwie. Poznałem, że pan markiz nie jest lubiany przez Maryę, ale że ta ostatnia obawia się go nieco To mię pocieszyło, spojrzałem jej w oczy, jakbym chciał rzec:

— Nie bój się, masz we mnie sprzymierzeńca.

Zrozumiała to czy nie, dość że z męskim, właściwym sobie giestem, który jednak nie był pozba-

wiony pewnego wdzięku, podała mi rękę i uścisnęła mię szczerze. Co zaś do Julci, ta odtrąciła szybko rysunek z wyrazem oburzenia i wzgardy i rzekła:

— Oh, nie rób go pan!... i tak mamy go już dosyć...

— Julciu, Julciu! — szepnęła Marya z lekkim wyrzutem i poczęła rozmowę o czem innem.

Nikt nam nie przeszkadzał w tej naszej poufnej i szczerej pogawędce. Markiz wcale się nie pokazywał, a ciocia nie miała zwyczaju się ruszać i drzemała na fotelu z romansem jakimś w ręku. Po obiedzie poszliśmy nad wieczorem na przechadzkę, na ową płaszczyznę, leżącą u stóp zamkowej góry, ale teraz już nam towarzyszył Hiszpan i ciągle mówił swym nadętym głosem, z teatralnymi ruchami, tak że nie dał nikomu przyjść do słowa. Wściekałem się na niego, bo nie mogłem ani słówka zamienić z Julcią.

Wieczorem samym, kiedy już noc zapadła i księżyc wypłynął na czysty szafir niebieski, usiedliśmy znowu we troje na tarasie, napawać się chłodem i urokami księżycowej nocy letniej. W pokoju siedział dziadunio i popijał miodek, od którego prawie gwałtem się dzisiaj wywinąłem; dalej na fotelu leżała ciocia z obu psami na kolanach, wystrojona jakrawo i chłodząca się wachlarzem, z książką w ręku. a obok niej markiz, który jej coś szeptał, dalej my troje na tarasie, oblani światłem księżyca, w którem Julcia ubrana biało, wyglądała jak nieziemska jakaś istota. Hiszpan, zwyczajem swoim, skradłszy się cichaczem, szepnął mi do ucha:

— Patrz pan na pannę Julię, gdybym nie wiedział, że jest żywa, myślałbym, że to duch jakiś pokutujący, albo zaklęta jakaś księżniczka. Światło księżyca umie stwarzać takie cuda w naturze, które zdaje się wytworzyć tylko można na płótnie obrazu.

W tej chwili rozległ się głos melancholijno-piskliwy cioci:

— Panie Kosa, proszę do mnie na chwilę!

Zdziwiony zerwałem się i pobiegłem do cioci, a tymczasem markiz deklamował dalej, jak na Hiszpana dość nieźle, polskie wiersze.

— Przepraszam pana — rzekła ciocia — że pana fatyguję, ale mam interes, niech pan siada. Pan jako ułan — poczęła ciocia — musisz się znać na chorobach zwierząt: oto mój Kupido jakiś jest nie swój, czy nie byłbyś pan tak dobry dać mu jakie lekarstwo?

Zrazu zgniewała mię ta propozycya, ale po krótkim namyśle spostrzegłem w niej tylko śmieszność, nie zasługującą na gniew, rzekłem więc:

— Ja nie znam się, ale mam w mym plutonie weterynarza — każę go jutro wezwać, jeżeli pani sobie życzy.

— Wdzięczna panu będę bardzo, to takie biedne psiątko, takie przywiązane, że moje miękkie serce pęka z boleści, patrząc na te cierpienia.

Umilkła i poczęła się chłodzić wachlarzem.

— Ach, jakie gorąco! i co najgorsza, że w takie upały czuję się dziwnie rozstrojoną, dziwnie słabą.

A pokazując mi książkę, którą trzymała w ręku, spytała:

— Czy pan czytał kiedy romanse pani Radklif?

— Nie, nie czytałem.

— Są bardzo zajmujące. Ten właśnie nosi tytuł: »Puszcza czyli Opactwo«. Okropne rzeczy są w nim: podziemia, zbrodnie, tajemnice... I zdawałoby się, że takie rzeczy są zmyślone, a niestety, są one jak najprawdziwsze. W tym pałacu oto naszym, który jest starą, brzydką ruderą, jest na pierwszem piętrze, niedaleko pańskiego mieszkania, tajemniczy pokój, nazwany »Sułtańską komnatą«, w którym także się mieszczą jakieś tajemnice. Gdybym była panią Radklif, zarazbym napisała o tem romans. I wyobraź pan sobie, że w naszym rodzie, żadnej kobiecie nie dozwalają wstępu do owego pokoju, jedynie mężczyźni wchodzą tam i to tylko raz w życiu, kiedy stają się głowami rodziny. Taka tyrania względem nas, płci słabej, jest nie do zniesienia. Wszak prawda, panie?

— Muszą być jakieś powody takiego zakazu — odrzekłem.

— Czyż ja wiem? dość, że mi to nigdy spać nie dało. W tym domu nie mieszkałam kilkanaście lat, wróciłam dopiero przed kilku miesiącami i powiem panu szczerze, że ogromnie jestem ciekawa, co tam się kryje w tej »Sułtańskiej komnacie«. I gdybym była mężczyzną, ani chwili nie wahałabym się, ale cóż, jestem tylko słabą, chorą kobietą. Namawiałam markiza, ale powiada, że się boi, zresztą mężczyźni tracą powoli galanteryę względem płci nadobnej. Ale pan, co jesteś żołnierzem, pójdziesz tam, nieprawdaż? i powiesz mi...

Nie wiedziałem w pierwszej chwili co odpowiedzieć na tę dziwną propozycyę, czynioną mi w jednym dniu po raz drugi przez dwie osoby. Wywinąłem się, jak mogłem, naleganiom cioci, mówiąc, że zobaczę, namyślę się.

Pierwszą moją czynnością po powrocie do siebie było przekonanie się, czy istotnie za szafą dużą, staroświecką, w której pozawieszałem me suknie, znajdują się jakie drzwi. Przy pomocy Antka odsunąłem szafę, co nam dość trudno przyszło, bo szafa była masywna i ciężka i w istocie spostrzegłem drzwi drewniane, zamknięte na zasówkę, która od strony mego pokoju się otwierała. Dostanie się więc do tajemniczej »Sułtańskiej komnaty«, jeśli w istocie z nią sąsiadowałem, było bardzo łatwem; dość odsunąć zasówkę i otworzyć potem drzwi...

Szafę postawiliśmy na swem miejscu i ja zmęczony wrażeniami tego dnia, poszedłem spać, marząc o szafirowych oczach Julci i tajemniczej komnacie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



DO SZKOŁY.

Dziatwo serdeczna! Rzuć pląsy żwawe!
Porzuć niewinne zabawy swoje!
Już przeminęły twych uciech zdroje.
Teraz ważniejszą masz zacząć sprawę!

Dziatwo kochana! — Wakacyi chwile
Minęły dla cię już bezpowrotnie —
I tylko wspomnieć możesz je mile,
Teraz do pracy pospiesz ochotnie!

Do szkoły dziatwo! Na życia tory,
Ona twe serce w męstwo uzbroi,
Ona nauką umysł napoi,
I cnót podniosłych wskaże ci wzory!

Szkoła, jak matka, do łona garnie.
Tak uszlachetni, jak matka droga,
Że przejdziesz życie w pracy ofiarnie,
Na dobro bliźnim i chwałę Boga!

O zacna młodzi! ty doroślejsza!
Bądź dla tej dziatwy podporą, wzorem!
Niech ona kroczy cnót twoich torem,
Niechaj ją wspiera twa dłoń silniejsza!

Dziatwo i młodzi! Wyście nadzieją
Naszej Ojczyzny, co zmartwychwstanie,
Gdy nam wolności chwile zadnieją;
Dziatwę i młódź tę, błogosław Panie!

Teofil Tryczyński.



Hej! hej! jaka to bida, ze ino niktóre panienki mają dzieci. W nasy wsi puścili wójt motyla, zeby prowadzić dziecka do wpisu, do skoły.

A kogo ja, bidna sirota, do skoły powiedę, kiedy mi Pan Jezus nie dał ani chłopaka ani dziewcyny, choć juz trzydzieści roków po tym świecie gicalami włócę.

Jak motyl od wójta przysedł, tak siadem se na przypiecku i ślipia zacęły mi mokrzeć od wielgiej załości, ze ni mogę nijakiego brzdąca do skoły zawiść. Uźreli to gospodyni i choć to baba kwarda, zlitowali się nademną i zaraz grzecnie padają:

— I cegóz ty, mękolu, wyjes przy tym piecu?

— Jak ni mam wyć — rzeknę — kiej Walenty Brózda powiedą do skoły dwoje dziecek, Rydzyna dwoje, Jaśkowa troje, Polocka jedno, Wojtkowa jaze cworo, a ja, bidna chudzina, za tyle lat poniewirki i strapacyje ani jednego brzdąca nie powiedę.

— Dzis go — na to gospodyni — jakześ chciał, zebyś w kawalirskim stanie dziecka miał i wiódł do skoły? A widziałeś ty, zeby kiedy chłop miał dzieci?

Co prawda, to prawda, zem nie widział, ale jakby tak Poniezus chciał, toby się ulitował i choć niktóremu choć jakiego takiego smyrdaca dał, aby miał ukontentowanie. Jakbym, nieprzymirzając, ja takiego małego Maciusia miał, tobym go powiód do wpisu, a na kolendę wziąłbym gęś gospodyni, niechby se ta bidne prefesurzysko choć gęsią ślipia otar za te wszyćkie uciemiężenia, jakie ma z temi despetnikami bez cały rok. O jabym la prefesura nic nie załował i nie byłbym jak te baby niektóre, co zawiedzie śtyry dziecka a poniesie mu na kolendę dwa jajka.

Mój mały Maciuś, jakbym go miał, musiałby się dobrze ucyć, aby kiedyś, przy pomocy Bożej wydrapał się na jakiegoś organistę.

Ale cóz, kiej gospodyni padają, ze chłopy dziecek nie miewają, ino baby.

No, dobrze! ale cemu Kaśka nie ma dziecek? Przecie ona do jedzenia jaz, jaz!... a i do roboty galantna, to i dziecka mieć powinna, bo ją przecie stać na to. Chyba ino bez to ich ni ma, ze takie małe półtoraki, to przy robocie przeszkadzają, a ona ciegiem za zarobkami goni, to jej nijak do bawienia się odrywać. A moze być, ze i nie lubi dziecek? Ja bo lubię znowu ogromnie i ciengiembym się z niemi ciaćkał, bo to takie miluśkie aniołki. A jakby mi które śnich pedziało: »Tata«, to la Boga, chybabym ze skóry wyskocył.

Kiedy juz na chłopów przysło takie pokaranie, ze dziecek nie miewają, to jak się ozenię, to zaraz zapowiem Kaśce, zeby co dwa miesiące było dziecko, bo jak nie, to jej takie lanie sprawię, ze ruski miesiąc popamięta. A wtedy, jak przyjdą wpisy, to nie jedno, ani dwoje powiedę do skoły, ale całe pół kopy naraz.

Z TYGODNIA.

Cholera. Od trzech tygodni żyliśmy w obawie, że cholera, która panuje we Włoszech, leżących w bezpośredniem sąsiedztwie monarchii austryackiej, dojdzie i do nas W Tryeście były przez szereg dni na porządku dziennym wypadki tej groźnej epidemii. Dostała się wreszcie cholera do Wiednia, gdzie umarła jedna kobieta. Energiczne środki ostrożności, natychmiastowe odosobnienie wszystkich, którzy mieli styczność z chorą, zapobiegły na razie rozszerzeniu się cholery w stolicy Austryi. W chwili, gdy numer »Roli« oddajemy pod prasę, nadeszły telegramy, że w Tryeście, ponieważ od dni 10 nie zaszedł tam nowy wypadek cholery, uznano epidemię za wygasłą. Możemy więc odetchnąć; energiczne tłumienie zarazy ugasiło ją w zarodku. Z innej strony jednak, choć nie tak bezpośrednio, zagraża cholera, sroży się bowiem dalej w Turcyi. Niechlujstwo tamtejszej ludności przy niedołęstwie władz są nader podatnym dla niej gruntem.

Olbrzymi strajk. Od lat może dwudziestu pojawiły się w wielkich miastach, posiadających liczne fabryki, masowe strajki czyli zmowy robotników, mające na celu uzyskanie od właścicieli fabryk i przedsiębiorców podwyższenia płacy i zniżenia godzin pracy dziennej. Mądrą jest wprawdzie myśl zrzeszania się, wspólnego i solidarnego działania, przynosi ona jednak wtedy tylko pomyślne rezultaty, jeśli rzesze robotnicze walczą o polepszenie bytu poważnie, spokojnie i żądają tego, co w danych warunkach możliwem jest do osiągnięcia. Fabrykant tylko do pewnego stopnia podnieść może zarobki robotników; gdy ci żądają za wiele, tak żeby nie mógł prowadzić przedsiębiorstwa, wówczas na skutek takiej szalonej zmowy fabrykant zamyka fabrykę i setki, ba, nawet tysiące robotników zostają z rodzinami bez chleba. Niestety, takie bezrozumne strajki bywały i u nas w Polsce; w latach 1905—7 w Królestwie, w fabrycznem mieście Łodzi, robotnicy, obałamuceni przez socyalistycznych agitatorów, dopóty podnosili w pewnych tamtejszych fabrykach swe żądania i trwali w bezrobociu, aż kilku fabrykantów zamknęło swe fabryki na szereg miesięcy a biedni robotnicy marli z głodu. Wkońcu musieli przez swoich delegatów prosić o otworzenie na nowo fabryk, poczem wrócili do pracy na gorszych niż poprzednio warunkach.

Obecnie w Anglii wybuchł olbrzymi strajk. Po ukończonym strajku robotników w porcie londyńskim, porzucili pracę robotnicy kolejowi w miastach angielskich Liverpolu, Manchesterze, Glasgowie i innych, skutkiem czego przez kilka dni w ubiegłym tygodniu zagrażały w miastach tych a również i stolicy Anglii groźne następstwa strajku, w pierwszym rzędzie głód z powodu niemożności dowozu środków żywności. Ogółem strajkowało około 260 000 kolejarzy, do których przyłączyli się w Liverpolu robotnicy zakładu elektrycznego oświetlenia miasta, poprzecinali druty, które rozprowadzają prąd elektryczny i miasto przez kilka nocy pogrążone było w ciemnościach.

Zmowa kolejarzy nie jest to walka robotników z tym lub owym właścicielem fabryki; sprowadza ona olbrzymie straty dla handlu i przemysłu i grozi okropnemi następstwami dla całego kraju. Wdał się w nią rząd angielski i wymógł na zarządach kolei, aby zgodziły się na żądania robotników, przyrzekając, że za to parlament uchwali podwyższenie opłat kolejowych. Dzięki temu dnia 20 b. m. strajk kolejowy angielski zakończył się. Spowodował on w wielu miastach niebywałą drożyznę.

KRONIKA.

Kongres Maryański w Przemyślu. W dniach 26, 27 i 28 sierpnia odbywa się w Przemyślu drugi z rzędu Kongres Maryański. Kongres ten, na który przybyły liczne rzesze katolików z całego kraju ma nietylko znaczenie religijne, lecz także narodowe. Od szeregu tygodni budził też wielkie zainteresowanie w całym kraju. Kongresy Maryańskie urządzane u nas, są przekonywującym dowodem, że mimo usiłowań wrogów naszej religii, mimo szeroko rozgałęzionej agitacyi socyalistycznej, która stara się z duszy polskiego robotnika, a niestety i włościanina, wyrwać zdrowy podkład religijny, głębokie poczucie religijne trwa w wszystkich warstwach naszego narodu, niezłomne, potężne, głęboko od wieków zakorzenione, a cześć dla Najśw. Panny właśnie w ostatnich latach kilku wzmogła się u nas znacznie. Kongresy Maryańskie są najwybitniejszym tej czci wyrazem. O odbywającym się w Przemyślu Kongresie napiszemy obszerniej w następnym numerze »Roli«.

(J. K.) **Festyn T. S. L.** Dnia 13 b. m. odbył się w Skolem, na polance »Dąbrówka«, festyn na dochód Towarzystwa Szkoły Ludowej. Uroczo położona polanka, ubrana chorągwiami biało-czerwonemi, wypełniona była miejscową publicznością, a nadto z Huty korostowskiej, odległej od Skolego 12 klm. przyjechała tak zwaną »kolejką« kolonia chłopców wraz z letnikami. Program festynu wypełniły zabawy i gry chłopców i dziewcząt, piękne ćwiczenia na drążku i piramidy Sokołów, którzy z różnych stron zjechali tu na kurs gimnastyczny. Nadzwyczaj miłe wrażenie zrobiły ćwiczenia wolne w 4 obrazach chłopców z kolonii Huty korostowskiej, za co też zebrali wiele szczerych i serdecznych oklasków. Nadto była poczta, wędka, kram TSL., gdzie za tanie pieniądze dostać było można miłą pamiątkę swojskiego wyrobu; był też, jak zwykle, i bufet obficie zaopatrzony. Przez cały czas dzielnie spisywała się muzyka kolejowa ze Stryja. Pogoda była prześliczna. Czysty dochód wynosił około 250 koron. Uznanie należy się Sokołom przybyłym tu na kurs gimnastyczny, którzy nie szczędzili trudu i pracy, aby ściągnąć chłopców i dziewczęta, pracujących we fabrykach, do zabaw i do ćwiczeń.

Niezwykła uczciwość. Nie często się teraz zdarza, aby dłużnik, chociaż jest w stanie oddać należytość wierzycielowi, czynił to punktualnie; gdy zaś zapłata przychodzi mu z trudnością lub zgoła wcale uiścić jej nie może, oczywiście że nie oddaje; po latach, znalazłszy się w korzystniejszem położeniu, o dawnych długach zapomina. Inaczej jednak postąpił pewien lwowski zegarmistrz, który przed kilkunastu laty miał w tem mieście sklep i dobrze mu się powodziło. Jako człowiek jeszcze młody i lekkomyślny hulał bez miary za zarobione pieniądze, a gdy tych nie starczyło, zaczął pożyczać na wszystkie strony. Wkońcu, ścigany pozwami i skargami, uciekł do Londynu. Tam po latach, uczciwą pracą, oszczędnością i zapobiegliwością dorobił się znacznej fortuny... I o dziwo, nie zapomniał o swych dawnych, dobrych przyjaciołach. Wszystkim zwraca pożyczki z procentami, nie zapomina nawet o wekslach, już dawno zapłaconych przez ręczycieli. Zaiste jest to uczciwość godna uznania.

Utopienie przy łowieniu ryb. Fatalny wypadek zdarzył się w Kulparkowie koło Lwowa. Sadownik Piotr Kudła łowił z synem ryby siecią w stawku, przyczem obaj wpadli do wody. Syna zdołano uratować, Piotr Kudła zaś utonął. Życiem biedak przypłacił chęć ułowienia paru ryb.

Pożar od pioruna. W Chełmie nad Rabą, dnia 11 sierpnia z maleńkiej chmurki, która nadciągnęła około godziny 6 wieczorem, uderzył piorun w chatę ubogiej wdowy Maryi Staniszowej. W jednej chwili ogarnął ogień strzechę chaty. Na alarm wszczęty przez Staniszową, nadbiegli sąsiedzi, przybiegł też na miejsce wypadku proboszcz miejscowy ks. kan. Albin, wikaryusz ks. Skwirut i nauczyciel p. Bułaga. Natychmiast zorganizowano energiczną akcyę ratunkową, którą wielce utrudniał brak sikawek i wody, tak że po wyczerpaniu wszystkiej wody z trzech pobliskich studni, musiano gasić pożar błotem. Ostatecznie przy usilnych staraniach zdołano pożar umiejscowić w przeciągu kilku kwadransów.

Stary dziad i młoda dziewczyna. Pewien stary, 70-letni żebrak w Wadowicach, zapaławszy nagłą miłością do 18-letniej dziewczyny, Juleczki, postanowił się z nią ożenić. Sprytna dziewczyna, widząc, iż stary ma 3 tysiące koron, okazywała mu wzajemność i w zeszłym miesiącu dali na zapowiedzi. Po pierwszej zapowiedzi, gdy oboje już »spadli z ambony«, zakochany dziaduś, pewny już małżeństwa z ładną Juleczką, dał jej książeczkę kasy oszczędności na 2 tysiące koron i 700 koron gotówką. Ale pospieszył się zanadto, bo dziewczyna z pieniędzmi za parę dni drapnęła w świat, a władze, zawiadomione o tem stwierdziły, że jest w drodze do Ameryki.

(J. S.) **Zabawa w wisielca.** W przysiółku Markach, należącym do wsi Dąbrowicy, w powiecie tarnobrzeskim, w dniu 11 sierpnia b. r. pasło dwóch chłopaków bydło w lesie. Ponieważ chłopcy nie mieli się czem bawić, więc przyszło im na myśl, ażeby zabawić się w wisielca. W tym celu przyginali brzozy, wieszali się u ich wierzchołka i puszczali w górę. Zabawa jednak smutno się skończyła, bo gdy przywiązał się do wierzchołka Wawrzyniec Obara liczący 12 lat, na pasie, brzoza porwała go w górę i zanim zawiadomiono ojca, chłopiec powieszony na brzozie skonał. Ojciec, gdy się o tem dowiedział, mało sobie życia nie odebrał.

Wybuch granatu. Zdarzyło się podczas ostatnich manewrów wojskowych na Węgrzech, że trzech żołnierzy z rezerwy znalazło na polu granat armatni. Przypuszczając, że wystrzelony lub zepsuty, zaczęli koło niego majstrować, pukać, próbując go otworzyć. Naraz rozdarł powietrze straszliwy huk: granat wybuchnął rozrywając jednego z żołnierzy, dwóch zaś raniąc śmiertelnie.



Jako rezerwiści widocznie zapomnieli obchodzić się z nabojami wybuchowymi i wyszły im z pamięci dotyczące przepisy, przypłacili więc życiem i kalectwem swą nieostrożność. Obrazek nasz przedstawia tę straszną chwilę wybuchu granatu. Ostrzegamy naszych czytelników, aby podczas ćwiczeń artyleryi, gdy ta strzela ostrymi nabojami, omijali potem leżące na polach patrony a zwłaszcza nie dopuszczali dzieci do bawienia się nimi.

Okradziony żandarm. Nie do uwierzenia do czego dochodzi śmiałość i czelność złodziei. — Oto w Przemyślu na dworcu kolei złodziej okradł tego, którego zadaniem jest ściganie złodziei, wachmistrza żandarmeryi! Zabrał mu ręczny kuferek, który położył obok siebie na ławce. Dopiero urzędujący komisarz policyi wytropił złodzieja w pociągu i oddał kuferek właścicielowi.

Straszny wypadek. W zeszłym tygodniu wydarzył się w Czechowicach obok Bielska straszny wypadek, którego ofiarą padło życie młodego sześcioletniego chłopca. W cegielni wpadł chłopiec właściciela do otworu, w który wsypuje się glinę i dostał się pomiędzy walce maszynki, która zdruzgotała mu obie nogi i tułów, przerabiając je na jedną masę. Co było powodem nieszczęścia, brak dozoru, czy też wadliwe urządzenia cegielni — wykaże śledztwo, które natychmiast wdrożono.

(J. T.) **Usiłowane morderstwo.** W dniu z 12 na 13 sierpnia wieczorem weszli do mieszkania Andrzeja Königa w Jasienicy na Śląsku austr. dwaj jacyś nieznani bandyci z zapytaniem o nocleg, a gdy im odpowiedziano, że nie wolno nocować tylko w gospodach, grozili, że ich wszystkich zamordują. Na szczęście posłano po żandarma, który zaraz przybył na miejsce, z nabitym karabinem stanął przy drzwiach i kazał obszukać przybyszów. Okazało się, że jeden z nich był ohydnym zbrodniarzem, bo nim żandarm wszedł do mieszkania, ten oknem do pola wyrzucił rewolwer, a przy nim znaleziono nóż w obie strony dobrze wyostrzony a przy drugim tylko książkę roboczą. Tak jednego puszczono wolno a drugiego okuto w kajdany i wpakowano do kozy.

Topielec z kamieniem u szyi. Przed niedawnym czasem znaleziono w Olzie koło Jabłonkowa, na Śląsku, zwłoki mężczyzny, który na szyi miał przywiązany kamień, ważący przeszło 30 kilogramów. W kieszeniach topielca znaleziono 125 koron 16 hal. W zwłokach rozpoznano 60-letniego Edwarda Kolasza, właściciela domu w Jabłonkowie. W ostatnim czasie można było zauważyć u niego przygnębienie i zniechęcenie do życia, a przed miesiącem sporządził już swą ostatnią wolę.

(J. T.) **Zabójstwo.** W dniu 5 sierpnia zbito w straszny sposób jakiegoś awanturnika nazwiskiem Antoni Rzabka. Dwaj młodzieńcy z Jasienicy, na Śląsku austr., wraz z robotnikami, którzy szli z pracy z fabryki w porze wieczornej napadli na niego z tej przyczyny, że kazał sobie dać w gospodzie piwa a nie płacił a gdy się gospodzki upomniał o zapłacenie mu tegoż, ten mu groził wytłuczeniem okien w sali. Podczas tej kłótni wypchali go z gospody na plac dwaj niejacy Bartoszkowie i zbili w straszny sposób. Na drugi dzień odwieziono go do szpitala w Bielsku, gdzie zmarł. Żandarmerya spisała całą sprawę i oddała sądowi powiatowemu w Bielsku.

Dziewięć godzin nad przepaścią. Niejaki Hildeman, kupiec niemiecki spędził w Alpach 9 godzin nad straszną przepaścią skalną, na wysokości 3200 metrów. Wraz z dwoma towarzyszami udał się na wycieczkę w Alpy, podczas której w miejscach niebezpiecznych wszyscy trzej byli powiązani z sobą sznurem. Nagle pod Hildemanem, który postępował w środku, załamała się cienka powłoka stwardniałego śniegu, pokrywająca przepaść, co spowodowało jego upadek. Towarzysze nie mogąc go wydobyć, po dwugodzinnych usiłowaniach spuścili go głębiej w przepaść, gdzie znalazł oparcie dla swych nóg, poczem jeden z nich udał się do schroniska po ratunek. Gdy Hildemanna po 9 godzinach wydobyto z niebezpiecznego położenia, był on na pół zmarznięty i zupełnie przemoczony. Po długich zabiegach jednak udało się przyprowadzić go do życia.

Samobójstwo anarchisty. Słuchacz uniwersytetu wiedeńskiego, Serb Markovic, popełnił w Lowranie pod Abazyą, na południu Austryi, samobójstwo wystrzałem z rewolweru, przechadzając się nad brzegiem morza z kochanką. W biurze policyjnem dziewczyna zeznała, że Markowic był anarchistą i popełnił samobójstwo, ponieważ nie miał odwagi wykonać polecenia, danego mu pod groźbą śmierci przez związek anarchistyczny. Tak to bywa wśród anarchistów. Gdy kto raz dał się wciągnąć do ich związku, przestaje być wolnym człowiekiem i życie jego zależy od przypadku. W razie, gdy anarchiści chcą zamordować jakiego znienawidzonego dostojnika państwowego, ciągną losy. Ten, co los wyciągnie, zabić go musi. Jeśli braknie mu odwagi rzucić bombę czy strzelić do upatrzonej ofiary, sami anarchiści zabijają swego towarzysza. Jeśli chce tego uniknąć, nic mu ucieczka nie pomoże, bo oni go wszędzie znajdą i zgładzą. Często więc sam życie sobie odbiera, jak to uczynił student Markowic.

Przechadzka po wodzie. Na wprost nieprawdopodobne pomysły wpadają ludzie niekiedy. Sądzić można, że »przechadzka po wodzie« jest tylko bajką, nie istotną prawdą — a jednak pewien Bawarczyk, nauczyciel pływania, wynalazł takie buty wodne, w których niedawno temu przeszedł się po jeziorze, utrzymując się przez dwie godziny na powierzchni wody. Niezwykle te »buty« stanowią dwie proste blaszane rury, szczelnie zalutowane, w nich są otwory, w które pragnący chodzić po wodzie wsuwa nogi i posuwając się miarowo oraz utrzymując równowagę, może przechadzać się po stojących wodach. Na rzekach wynalazca nie próbował jeszcze swoich »butów«, silny prąd wody mógłby okazać się niebezpiecznym dla równowagi spacerujacego po rzece. Obrazek nasz przedstawia ten ciekawy wynalazek.



Powrót z twierdzy pruskiej. Ks. proboszcz Gryglewicz ze Slesina, w Ks. Poznańskiem, skazany został przez sądy pruskie na trzy miesiące fortecy za wygłoszenie kazania o Zmartwychwstaniu Pańskiem. Władze pruskie dopatrzyły się w kazaniu kapłana polskiego podburzania do gwałtów.

Niedawno ks. Gryglewicz po odsiedzeniu kary został wypuszczony z twierdzy, a parafianie zgotowali mu serdeczne powitanie. Około 8 wieczorem zgromadziło się na stacyi mnóstwo powózek i rzesze ludu z całej okolicy oraz 14 księży. Wychodzącego z wagonu kapłana powitała najpierw najbliższa rodzina, a lud zakrzyknął mu trzykrotnie: Niech żyje! Ksiądz proboszcz dziękował wzruszony, poczem siadł do powozu, aby udać się na probostwo. Przez zbite tłumy konie postępować mogły tylko noga za nogą. Przed kościołem wzniesiono bramę tryumfalną, ubraną zielenią i lampionami. Tam oczekiwały swego pasterza bractwa ze światłem i cała parafia z pieśnią »Kto się w opiekę« na ustach. Na probostwie powitała syna matka, staruszka 84-letnia, a na widok ten prawie wszystkim łzy stanęły w oczach. Uroczystość zakończyła się wieczerzą w ściślejszem gronie.

Zjazdy katolickie. Z początkiem sierpnia odbywał się w Moguncyi, w Niemczech, pięćdziesiąty ósmy doroczny zjazd katolików niemieckich. Jak wiadomo, katolicy Niemcy stanowią w tem państwie poważną siłę, z którą się rząd liczy coraz więcej, a zorganizowani wzorowo i co roku stykający się z sobą za pośrednictwem najwybitniejszych przedstawicieli, starają się ojczyznę swą w zakresie rządzenia pchnąć na lepsze, chrześcijańskie tory. Są oni przeciwnikami tak zwanych hakatystów, którzy ustawicznie szczują rząd na Polaków, domagając się coraz to nowych obostrzeń i prześladowań naszego ludu. W parlamencie niemieckim stanowią poważną, przeszło 100 posłów liczącą grupę, zwaną »centrum«, która z Kołem polskiem tamtejszem w wielu sprawach idzie ręka w rękę a nieraz występuje w obronie praw naszych.

W Ołomuńcu odbył się w zeszłym tygodniu liczny i poważny zjazd katolików czeskich. Brało w nim udział wielu duchownych, posłów, profesorów uniwersytetu, obywateli, włościan i wogóle ludzi wszelkich stanów społecznych.

Figle piorunu. I piorun ma swe humory i kaprysy, czasem nieszkodliwe, częściej jednak powodujące dotkliwe straty i pożary. W pewnej wsi niemieckiej piorun, uderzywszy w wieżę miejscowej świątyni, zburzył ją zupełnie, następnie na cmentarzu sąsiadującym ze świątynią wyrwał z ziemi kilka nagrobków kamiennych, przewrócił do góry spodem wielką płytę z piaskowca i spalił wysuszone przez upał wieńce na nagrobkach. Stamtąd przeniósł się na stojącą w odległości 200 metrów chatę włościańską i podpaliwszy ją, uderzył jeszcze w położoną naprzeciwko willę, oraz skład wyrobów żelaznych, tu jednak nie wyrządził już szkody.

Pożar lasu. Z Poznańskiego donoszą, że dnia 12 b. m. w okolicy Łabiszyna wybuchł wielki pożar lasu. Trwał on od godziny 1 w południe aż do 9 wieczorem. Spaliło się prawie doszczętnie około 800 mórg 20-kilkoletnich zagajeń. Pomoc była zaraz na miejscu, lecz upał nieznośny i wiatr, jaki panował, utrudniały bardzo pracę przy tamowaniu ognia. — Przyczyny pożaru dotąd nie zdołano stwierdzić.

Po godzinie deszczu — powódź. W ubiegłym tygodniu nawiedziła wielkie miasto fabryczne w Królestwie Polskiem, Łódź, niezwykła i niespodziana powódź. Powodem jej był gwałtowny deszcz, który padał niespełna godzinę. Z przepełnionych rynsztoków i kanałów woda wylała i płynęła środkiem ulic, niszcząc bruk drewniany, mostki i t. p. Woda na ulicach sięgała do kolan, przedostając się do piwnic i suteryn. Zatrzymano ruch tramwajów, a komunikacya kołowa sama przez się ustała. Woda poznosiła bruk drewniany na wielu ulicach. Powódź naraziła miasto na duże straty. W kilkudziesięciu domach straż ogniowa wypompowywała wodę z mieszkań, do których wdarła się w ogromnej ilości, zatapiając sprzęty.

Tysiąc „łapowników“. Jak wiadomo, z powodu ogromnych nadużyć w rozmaitych wojskowych i cywilnych urzędach i władzach w Rosyi, od kilku lat odbywają się w różnych guberniach tak zwane rewizye senatorskie. Poważni i godni zaufania senatorowie, odkrywając wszędzie olbrzymie nadużycia, spotykają się na każdym kroku z łapownictwem, którego nie wstydzą się nawet najwyżsi urzędnicy i wojskowi. Obecnie dokonano rewizyi w zarządzie kolei syberyjskich, skutkiem której tysiąc urzędników tej kolei zasiędzie na ławie oskarżonych pod zarzutem brania łapówek za najrozmaitsze nadużycia służbowe.

Wybuch armaty. W obozie artyleryi pod Petersburgiem wydarzyła się straszna katastrofa. Oficer objaśniał żołnierzom budowę nowej armaty; zaś dla łatwiejszego zrozumienia kazał ją nabić kartaczem. Nagle nabój wybuchł i sprawił ogromne spustoszenie wśród stojących obok żołnierzy. Dziewięciu zostało rozszarpanych w kawałki, a 15 ciężko rannych. Zrozpaczony oficer usiłował odebrać sobie życie, czemu z trudem tylko zdołano przeszkodzić.

Zabawne samobójstwo. Na przystani w Kijowie zdarzyło się następujące, śmiechu godne, małżeńskie »samobójstwo«: Małżonkowie Tałaszczewowie przyszli nad brzeg Dniepru, podpiwszy sobie poprzednio, rozebrali się tam i rzucili do wody. — Woda jednak sięgała im zaledwie do pasa. Trudno było w tych warunkach utopić się, więc podpici małżonkowie, zachęcając jedno drugie, doszli do głębokiego miejsca i tutaj postanowili zakończyć rachunki z życiem. Dla ułatwienia sobie tego jedno topiło drugie. Najpierw mąż pogrążał się w wodzie, ciągnąc za sobą żonę, następnie zaś ona oddawała taką samą usługę mężowi. Widząc, co się święci i że kobieta zaczyna tracić już przytomność, stojący na brzegu robotnik rzucił się do wody i wyciągnął oboje na brzeg. Oburzony ratunkiem robotnika Tałaszczew rzucił się na swego wybawcę i zaczął go bić. Awantura z samobójstwem po pijanemu skończyła się nakoniec w areszcie policyjnym, gdzie niedoszli samobójcy przedewszystkiem przespawszy się, otrzeźwieli.

Bandyci tureccy. W Turcyi niema uporządkowanych stosunków, niema dostatecznej służby bezpieczeństwa, więc morderstwa i różne zbrodnie zdarzają się bardzo często. Bandyci grasują swobodnie, zwłaszcza wśród zapadłych, jakby na łup ich wydanych wsi. Gdy mieszkańcy zdradzą przed władzami, że taka banda hula w okolicy i wojsko ujmie kilku opryszków, wówczas reszta krwawo mści się na wieśniakach.



Wchodzą uzbrojeni do wsi, mordują ludzi i rabują ich mienie bez miłosierdzia, potem zaś wołają starszyznę i pokazując na trupy leżące u ich nóg, obwieszczają, że uczynili to z zemsty za doniesienie o ich rozbojach, ostrzegając, że pomszczą się jeszcze bardziej, gdyby ich kiedykolwiek ośmielono się wydać. — Taką straszną zemstę bandytów przedstawia nasz obrazek.

Zakopany w ogrodzie. Jeszcze w roku ubiegłym zginął nagle bez wieści bardzo bogaty przemysłowiec i kapitalista, niejaki Vermesch, z miasteczka Vesinet, położonego niedaleko Paryża. Poszukiwania za zaginionym bogaczem nie dały żadnego rezultatu. Ostatnią o nim wiadomość podał jego długoletni sekretarz Jooris, który w jakiś czas po zbrodni opuścił miasteczko i udał się w niewiadomym kierunku. Rodzina zaginionego nie przestała wszakże poszukiwać go. Nie szczędzono kosztów,

byle tylko odnaleźć swego krewnego. Policya poczęła podejrzewać, że Vermescha prawdopodobnie w tajemniczy sposób zamordowano. — Rozpoczęte w ogrodzie willi Vermescha rozkopy dały nadspodziewany wynik. O niecały metr pod ziemią natrafiono na zwłoki Vermescha. Bliższe badania wykryły, że nieszczęśliwego zaduszono sznurkiem, kilkakrotnie okręconym koło szyi, przyczem znaleziono również bardzo liczne rany na całem ciele. Zarządzono natychmiast aresztowanie Joorisa w Brukseli, który przyznał się do spełnienia zbrodni. Celem morderstwa była chęć obłowienia się pieniądzmi przez niegodziwego sekretarza.

Zbrodnia z powodu upałów. W miasteczku Antwan, we Francyi, pewien introligator, dostawszy z powodu upałów ataku szału, zabił swą gospodynię i jej córkę a potem uciekł. W polu znaleziono jego zwłoki, gdyż zabójca odebrał i sobie życie.

List dziecka do Pana Boga. W pewnej miejscowości w Szwajcaryi, listonosz przebierający listy przeznaczone do wysyłki, znalazł list zaadresowany do Pana Boga. Otwarto go i znaleziono rozczulające pismo jakiegoś niewinnego dziecka, które tak brzmiało: »Panie Boże, jesteśmy bezdennie smutni. Dlaczego to, Panie Boże, nie pozwalasz znowu słońcu przyświecać? Babusia pragnęłaby chętnie zasiąść znowu przed domem na ławeczce, my zaś chcielibyśmy siano i żyto sprzątać, ażeby mieć chleb, inaczej pomrzemy zimą z głodu; pomyśl tylko, Panie Boże, że my nawet wiśni zrywać nie możemy, ponieważ nam ciągle deszcz zsyłasz. Jam jest Twem dzieckiem i kocham Cię. My Cię zawsze kochać będziemy i nigdy nie będziemy nieposłuszni, dlatego wysłuchaj naszej prośby«.

Zapewne Pan Bóg wysłuchał tej wzruszającej prośby dziecka i zesłał mu oraz jego rodzinie nasamprzód pomoc w osobie jakiegoś dobrodzieja, który ulitował się nad jej niedostatkiem.

Ukarany zazdrośnik. W nrze 33 »Roli« opowiedzieliśmy wypadek uduszenia przez węże właściciela folwarku nazwiskiem Stoner w Ameryce, który powodowany zazdrością przed kilku laty kupił cztery węże i przywiązał do skał przy drodze do swego domu. Pełniły one służbę straszliwych stróżów wobec mężczyzn, którzy, jak podejrzewał Stoner, zakradali się do żony w czasie jego nieobecności. Gazety amerykańskie piszą, że człowiek ten przez całych pięć lat trzymał biedną kobietę pod opieką jadowitych gadów.



Małżeństwo to jednak było dawniej szczęśliwe. Stonerowa, oszczędna i pracowita kobieta, troszczyła się o dobytek, nie szczędząc trudów i zabiegów około gospodarstwa. Z czasem dopiero pogodne życie małżonków zamącił jednakże silny pociąg Stonera do wódki. Zrozpaczona kobieta zagroziła mężowi, że porzuci gospodarstwo i uda się pod opiekę rodziny, czego zresztą nie brała na seryo, sądząc, iż mąż pozbędzie się jeszcze zgubnego nałogu. Stoner mimo to odwiedzał aż nazbyt często szynkownię, a obawiając się istotnie zdrady swej małżonki, postarał się o osobliwych stróżów domu, nie przeczuwając, iż sam, upity do nieprzytomności, znajdzie śmierć w splotach wężów. — Obrazek nasz przedstawia ten straszny wypadek.

Pożar stepów. Co lat parę czytamy o pożarach stepów amerykańskich. Przed kilku miesiącami również wybuchł taki pożar; na przestrzeni dziesiątek mil płonęły bujne stepy, fala ognia gnana wiatrem, pędziła przed sobą wszystko, co żyło. Zginęło wielu ludzi, wiele zwierząt, a wśród nich liczne stada olbrzymich bawołów amerykańskich, których rasa już ginie. Rząd państwa Kanady, aby rasę tę utrzymać, ogrodził ogromną przestrzeń tych stepów, gdzie żyło 800 sztuk tych wspaniałych zwierząt. Gdy wybuchł pożar stepów i rzeka ognia wtargnęła w ogrodzone przestrzenie, zwierzęta, uciekając w straszliwym popłochu, przerwały mocne parkany i popędziły dalej.



Lecz ogień, gnany wiatrem po zeschniętych trawach i roślinach stepowych, wygubił wiele tych pięknych bawołów, które wraz z dozorcami zginęły wśród pożaru. Pożar stepów jest rzeczą niezmiernie straszliwą; przed pożarem domu, stodoły, wsi całej, o ile kogoś w mieszkaniu na śnie ogień nie schwycił, uciec można, ale przed pożarem, który dziesiątki i setki mil obejmuje, człek nie uciecze, jak przed powodzią, która wszystko zalewa. Ogień taki jest nawet straszniejszy, niż wezbrana woda; można bowiem przed nią uciec na dach, na wzgórze, na drzewo, można dzień, dwa, czekać tam na ratunek, lecz przed powodzią ognia ucieczki niema. Obrazek nasz przedstawia chwilę, gdy fale ognia ścigają stada bawołów na stepie amerykańskim.

Dziwna choroba. Pewien silny, zdrowy i doskonale zbudowany rybak w Waszyngtonie, w Ameryce, przyszedł do jednego z tamtejszych lekarzy z prośbą o poradę w niezwykłej dolegliwości. Opowiedział, że poprzedniego roku podczas pracy uczuł silne swędzenie, spowodowane przez duży guz na lewej łopatce. Wycisnął guz i wyszedł biały robak płaski, półtora centymetra szeroki, a około dwóch centymetrów długi. W rok później spostrzegł na swej piersi kilka narośli. Bez wahania porozcinał je scyzorykiem i znalazł robaki tegoż gatunku. Lekarz, oglądając ciało pacyenta, znalazł dwa obrzmienia: jedno pod pachą, drugie na piersi. W jednem z nich krył się jeden robak, w drugiem dwa. Były to robaki, przypominające pewne pasożyty wnętrzności ludzkich, ale dotychczas nie określone naukowo. Lekarz poddał je rozpoznaniu profesora Smillsa, biegłego badacza wnętrzaków, lekarza szpitala wojskowego. Ten poznał wnętrzaka już obserwowanego w Japonii, ale jeszcze nie widzianego w Stanach Zjednoczonych. Dla rybaka nie znaleziono lekarstwa. Wkrótce cierpienia jego stały się nieznośnemi. Osza-

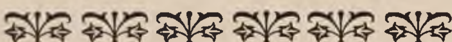
lał. Obłęd jego powstał stąd, że wnętrzaki dosięgły mózgu. Kiedy otworzono jego czaszkę, ujrzano, iż robaki wyżarły móżdżek, w którym było ich rojowisko. Robak, o którym mowa, nie ma prawidłowej postaci. Skręca się w kilka zwojów. Głowy odrywają się jak u tasiemca, wędrują przez tkanki ciała i pożerają organizm ludzki. — W Tokio, stolicy Japonii, na rozmaitych częściach ciała zmarłej Japonki lekarze tamtejsi znaleźli około 1600 robaków w jednym centymetrze sześciennym. Stwierdzono przytem, że robak jest gościem czasowym swej ofiary. Wół pożera go z trawą i nie doznaje szkody, podobnie jak wieprz zjada włośniki (trychiny). Dopiero gdy człowiek spożyje mięso zarażone, robak znajduje warunki, sprzyjające jego rozwojowi. Ów chory w Waszyngtonie zjadł go zapewne z rybą.

Jaka będzie zima? Według twierdzeń starych i doświadczonych bartników, można się w tym roku spodziewać tęgiej i rychłej zimy. Twierdzenia swoje opierają na tem, że pszczoły bardzo rychło w tym roku, zabrały się do przygotowania swoich zimowych leży. — Wszystkie zbyteczne otwory w ulach zalepiają na gwałt. Zbieranie miodu także już w części ustaje. Ponieważ stworzenia swym instynktem naprzód stan powietrza odgadują, należy się na pewną zimę lub co najmniej na nocne przymrozki przygotować. Zresztą już dawno po ś. Annie a jak to mówią: od św. Anki, zimne poranki. Może przepowiednia pszczół się sprawdzi i będziemy mieli w tym roku wcześniejszą zimę.

Na 501 rocznicę bitwy pod Grunwaldem wyszły nowe w barwach, artystycznie wykonane pocztówki »Królowej Jadwigi« z tekstem L. Rydla i pocztówki z »Bitwy pod Grunwaldem« z tekstem H Sienkiewicza oraz wspaniały wielki obraz przedstawiający »**Królową adwigę**« na tronie w otoczeniu żeńskiem według rysunku Jana Matejki.

Jak widzimy reprodukcye te wykonane zostały w pierwszorzędnych zakładach krajowych i będą miłą ozdobą polskich domów i wspomnieniem z historyi czynów naszego narodu. Nadmienienia godnem jest, że obraz królowej Jadwigi jest wydawnictwem bezinteresownym, bo dochód z niego przeznaczony został w połowie na pokrycie kosztów kanonizacyi królowej Jadwigi i w połowie dla Towarzystwa Oświaty ludowej. A że wydawnictwa te są warte nabycia polecamy je czytelnikom i interesowanym a zwracać się po nie wprost do wydawcy pod adresem: **Jan Paully w Krakowie, ul. Krowoderska 47**, który na żądanie wysyła prospekta. Czytelnikom z zagranic kraju dołączamy prospekt od wydawcy.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.



Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Ułożył Fr. Marzec).

Pierwsze i drugie zniszczenie — śmierć głosi,
Drugie z trzeciem z wulkanów się roznosi,
Drugiego z pierwszem kto pisze używa,
Całe istota wielce nieszczęśliwa.

2. SZARADA.

(Ułożył Fr. Marzec).

Pierwsze i drugie w salonie się mieści,
Pierwsze i czwarte złe roznoszą wieści,
Trzecie i czwarte potrzeba krawcowi,
Całe człek: »jaki?« — kto zgadnie, odpowie.

3. SZARADA.

(Nadesłał Fr. Marzec).

Pierwszem mówię do osób, gdy ich dwie lub [mnogo,
Drugie z trzeciem to płyny, co ludzie pić mogą,
Pierwsze z trzeciem znane są każdemu rośliny,
Drugie z pierwszem pożyteczne to bardzo pta- [szyny.
Całe zaś znaczy: zwykły przymiot rzeczy,
Kto odgadnie — nagrodę sobie zabezpieczy (?).

4. SZARADA.

(Ułożył J. Stolarzewicz).

Pierwsze znajdziesz w alfabecie,
Samogłoska jest to przecie,
Drugie zwierzę dobrze znane,
Do roboty używane,
Całość nazwa ryby będzie,
Którą złowisz, lecz nie wszędzie.

5. SZARADA.

(Ułożył Mateusz Zięba).

Pierwszem z trzeciem na konie wołamy,
Czwarte z drugiem do płotów wbijamy,
Czwarte z pierwszem na towary będzie,
Pierwsze z czwartem ksiądz ma przy obrzędzie,
Całość potrawa będzie jarzynowa,
Nie w polu rośnie tylko ogrodowa.

6. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożył Firla Franciszek).

1	a	a	a	a	a	a		Miasto.
	a	a	a	b	c	c		Zwierzę.
	d	ę	g	i	i	i		Miejsce obronne.
	i	k	ł	n	o	r		Urzędnik.
	r	s	s	s	t	t		Narzędzie ogrodn.
	t	y	w	z	z	z	6	Instrument.

Powyższe litery poprzestawiać tak, aby dały znaczenie obok umieszczone, zaś litery w przekątni od 1 do 6 nazwę ptaka.

7. ZAGADKA.

(Ułożył W. Nowacki).

Pożytecznemi jesteśmy drzewami, stelmach chętnie nas bierze, kwiat nasz śliczny, biały, daje pszczołom pożywienie. Wstaw jedną literę wprzód a otrzymasz wolny czas, na który każdy się cieszy, szczególnie dzieci i studenci

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 2 września 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 33 *Roli*: 1) Zagadka **Potop**, 2. Szarada: **Arkadyusz**, 3. Zagadka: **Kamień**, 4. Szarada: **Parana**, 5. Łamigłówka: **Słowacki**, 6. Szarada: **Kopalnia**, 7. Szarada: **Cielak**, 8. Szarada: **Gramatyka**.

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Dawnymi czasy pierwsze się działo,
Ach! wtedy było płaczu niemało.
Arkadyusz, drugie, pana Szarka imię,
Ar, arka, zaiste ciężkie to jest brzemię,
Zato uszka są lekkie. Jak o głaz potknąłem
Przy trzeciej się zdrzemnąwszy, na dobre za- [snąłem,
Potem budzę się nagle, już jestem w Paranie,
Potem w Egipcie, gdzie Słowacki panie
O dżumie pisał. Znów Brzeszcze w pamięci,
Gdzie kopalnia węgla błyskiem ognia świeci.
Znów stacya, przystanek, pal cię licho — stoję,
Wreszcie gramatyka kończę rymy swoje.

J. Kulka.

2.

W piątek dostałem »Rolę«; zaraz nad nią [siadłem,
Wnet wszystko przeczytałem, zagadki od- [gadłem.
A było ich w tym numerze dużo.
Potop był raz na świecie, o tem wszyscy wiemy,
Do Parany, gdy trzeba nam grosza, jedziemy,
Bo tam nam zarobkiem służą.
W kalendarzu czas szukać mi imienia tego,
Co go tu nikt nie nosi, prócz tego naszego
Pana Szarka, co zadał szaradę.
Nic nie znajdę? Więc myślę, co jest w łami- [główce,
Słowacki! No to dobrze! A więc sobie nucę
Z uciechy, żem dał temu radę.
Gdy chcesz umieć o zdaniach, patrz do gra- [matyki,
Z której się uczą także w szkole szkolne smyki,
Choć ona ich czasem i nudzi.
Gdy się tak namyślam co jeszcze brakuje,
Patrzę — a tu ze stajni cielak wyskakuje.
(Cielaki są także i wśród ludzi...)

Józef Ralski.

Oprócz tego w oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania PP.:

Bożek Jan z J., Dziadyk Stefan z M., J. Woś z W., A. Bezokówna z K. m., A. Suchankówna z Ł., F. Chrzan z H., R. Kula z M, K., M. Dudek z Ż., J. Kobylański z M., I. Burghardt z S., P. Juroszek z I., S. Stolarzewicz z D., H. Łukawski z J., F. Klocek z N. T., J. Drobot z W., J. Krukurka z K., J. Świątek z P., Teper Fr. z M. K., P. Grudek z B., S. Kumięga z T., W. Stefański z G., J. Hirszberg z K., S. Misiewicz z Cz., K. Burak z W., W. Nowacki z Z., Mateusz Zięba z O. B., Zygmunt Bogdański z I., Michał Czyż z B.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Krzyż przy drodze*** wylosował p. **Michał Czyż** z B., zaś drugą p. t. ***Na rozdrożu*** p. **Karol Burak** z W.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Jan Ligęza w S: Druk kalendarza w całej pełni. Oprócz utworów prawie wszystkich naszych współpracowników, będą w nim dłuższe a bardzo wesołe »Pamiętniki Maćka Bzdury« oraz wiele ciekawych opowiadań i powiastek. Gdy dodamy do tego kilkadziesiąt obrazków, będzie to książka bardzo miła i cenna. — Franciszek Marzec z W.: Za szarady serdeczne dzięki — są one wszystkie bardzo dobre. — Robert Rydz w T.: Maciek za ładny wierszyk serdecznie dziękuje, a o młocce prosi i owszem. Okropnie to miło otrzymać słowa z ust, które się na rzeczy rozumią. Nowelka zupełnie dobra. — Jan Sieńczak w B.: Wiersze z różnych powodów czekają swej kolei i wcale kosza nie widziały; przyjdzie i na nie kolej, może być że w kalendarzu. Owszem Makiek był w Kalwaryi, tylko nieco wcześniej, bo na Anielską. Za pozdrowienia dziękuje. — Tyrna Jerzy w B.: W kronice umieszczamy tylko ważniejsze wypadki, wobec czego nie wszystkie nadesłane wiadomości znalazły miejsce w »Roli«. Józef Talaga w S.: Tym, którzy prenumeraty nie zapłacili, musieliśmy wysyłkę »Roli« wstrzymać, a trudno robić wyjątki, bo oneby przysparzały zbyt wiele pracy. Wszak prenumerata tak niska, to i najbiedniejszy o nią na czas postarać się może. — W. Nowacki w Z.: Zagadkę umieścimy, choć wolelibyśmy wierszem. Wierszyk p. t. »Przy łuczywie« znany, więc nie nadaje się do »Roli«. O monolog prosimy, jeżeli będzie dobry, chętnie umieścimy. — M. Więcław w N.; Sklepów takich w Krakowie jest bardzo wiele, aby więc poradzić stosowny sklep, trzebaby wiedzieć, czy potrzebne rzeczy droższe, czy tańsze. Niech więc Pan napisze, co i w jakim gatunku będzie potrzebował a odpowiemy listownie, podając adresy sklepów z meblami, kołdrami i kocami. Artykuł niech Pan nadeśle, przeczytawszy, osądzimy, czy będzie drukowany. Gazetka owa, o której Pan wspomina, choć wydawana pod firmą księdza, ale jest układana przez człowieka niespełna rozumu; ujadania jej nic »Roli« nie zaszkodzą, bo dobra rzecz sama się chwali. Za wiersze dziękujemy. — Piotr O. w J.: Wiersz nadesłany nie nadaje się do »Roli«. — Allus z Żer.: Rozwiązanie nadeszło, niestety, zapóźno, a szkoda, bo wierszyk był niezły. — Jan Cetera w T.: Wiadomego wiersza w sierpniu bezwarunkowo wydrukować nie mogliśmy, gdyż numer niniejszy jest ostatnim za sierpień. Wobec tego stosownie do życzenia obydwa wiersze zwracamy. Wiersz p. t. »Pieśń ranna« zupełnie dobry i byłby wkrótce znalazł miejsce w »Roli«, »Fata morgana« do »Roli« się nie nadaje. Z dawniej nadesłanych prac, wiersz ów z winietą będzie w kalendarzu na 1912 r. — Władysław Stefański w G.: Nadesłane zagadki już były w innej gazecie drukowane, przeto nie umieścimy. Powiastka czeka na swą kolej — kiedy będzie, trudno oznaczyć. — Józef Berek w K.: Wierszyki dobre, więc umieścimy je, gdy tylko miejsce pozwoli. — Józef Mośka w Z.: Szarady dobre — umieścimy. — Józef Ralski w O.: Dziękujemy — dobre. — Jędrzej Czarnik w Rz.: Wierszyk i zagadki dobre, więc będą drukowane.

Potwierdzenia prenumeraty:

Prenumeratę półroczna po dwie korony przysłali PP.:

Jan Wargacki z Ś., Krawczyk Stanisław z N., Wojtas Maciej z M., Stasioszek Emil z Dz., Benek Franciszek z Cz., Raszyk Karol z Ł., Zwilling Henryka z T., Niedziałek Henryk z B., A. Mglej z Porzyckich z Z., Lis Feliks z S., Pilch Michał z B., Sztec Jan z K., Marzec Józef z T., Pelc Michał z Rz., Kicz Stanisław z L. p., Ryba Wojciech z I., Czarnik Jędrzej z N., Kiszczuk Jan z J., Hamala Jan z S., Suchanek Karol z W. g., Rudolf Grzegorz z T., Tomala Franciszek z F., Siwek Jan z W. B., Indyk Karolina z B., Fita Jan z B., Koniuszecki Nestor z H., Pchełka Franciszek z K., Tomala Karol z Z., Sopczyk Jan z K.

Oprócz tego nadesłali PP.: Rachwalski Antoni z W. (4 K.), Byczek Paweł z B. 1. (1 K.), Piperek Jan z N. L. (1 K.), Huk Mateusz z S. (1 K. 50 h.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 22 sierpnia:

Buhaje	Kor.	150	do	420	za sztukę
Woły	„	200	„	400	„
Krowy	„	205	„	270	„
Jałówki	„	100	„	350	„
Cielęta	„	30	„	80	„
Owce i kozy	„	18	„	20	„
Świnie (bita waga)	„	140	„	160	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 22 sierp:

Pszenica	Kor.	11·65	do	12·—	za 50 kg.
Żyto	„	9·35	„	9·80	„
Jęczmień	„	8·40	„	8·75	„
Owies	„	8·—	„	8·20	„
Otręby pszenne	„	6·65	„	6·70	„
Otręby żytnie	„	6·60	„	6·70	„

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bssara.**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.